

NOWY DOKUMENT TEKSTOWY

Rozdział 1. CO SIĘ STAŁO Z POPROMIENNYM SNEM?

Nim się zorientowałem, miałem już popapranego fotografa na karku i cholera jedna wie ilu jeszcze mnie śledzących fajfusów w różnych odmętach tej pseudo ucywilizowanej rzeczywistości. No, więc tak, jestem przecież cholernym dziennikarzem o zły, jak to mówią te ćwoki, sławie. Więc jechaliśmy przez te cholerne miasto świętoszkowatych aniołów rozklekotanym gruchotem, ale jazda nie trwała długo, bo otóż tu, pod budynkiem miejskiego wydawcy zaparkowaliśmy, przez przypadek zahaczając o hydrant, który trysnął paletą wody jak impresjonistyczny bohomaz. W końcu jednak, zdołało się ukończyć te przekłete studia na wydziale, który obecnie praktykuje i znaleźć pracę w największym prasowym łajnie tego plebsowatego światka. Mój fotograf, na którego jestem skazany, zachowywał się jakby nigdy nie jechał w pośpiechu do pracy, jednak trudno się dziwić temu wypucowanemu sukinsynowi, który co chwilę poprawiał te swoje cholerne okulary, zjeżdżające mu na czubek nosa.

Wyszedłem z mojego klekota, a ta wywłoka (fotograf) wypełzła za mną. Aparat mu powiewał na wietrze zawieszony na szyi niczym flaga sztandaru chwały. Załadowałem psychodelika pod wargę godzinę temu i morda spuchła mi niemiłosiernie. Wyglądałem jakbym miał ropniaka na zębie, albo, co najmniej przypominał orangutana podczas godów. Tylko, że nie drapałem się po dupie (przynajmniej w miejscu publicznym) oraz nie śliniłem się (tak bardzo).

Weszliśmy do windy i wcisnąłem guziczek, którego nazbyt stabilna konstrukcja zawirowała niczym te statki z filmów Sajens fikszyń i poczułem jak mój obiad przemieszcza się razem ze wszystkimi wnętrznościami aż pod podniebienie i raptem opada po pięty. Dzyń i już byliśmy na najwyższym piętrze tej ogromnej wydawniczej fortecy, śmierdzącej środkami czyszczącymi. Fotograf czołgał się za mną, coś mówiąc pośpiesznie, ale cóż, w życiu trzeba wybierać, a ja definitywnie wybrałem go nie słuchać.

I wpadliśmy do biura tego małego, rudego spasionego warchlaka, który był moim wydawcą. Poczułem ciężar tego spojrzenia, które oceniało moje wytarte i podziurawione czarne dżinsy, poplamione w różnych dziwnych miejscach, bóg wie czym. Moja koszula poza wytartymi rękawami wydawała się całkiem znośna, a moja grzywka języka ufarbowana na białe. Czasem sobie myślę, że jakby wyrwać mój łeb i wysypać jego zawartość na konfesjonał, poza zużytymi kartami, kapslami po piwach i resztkami kwasów, coś jednak wartościowego, z uczuciem i nutką arcyzmu by się znalazło. Ale jednak wołałem się nie łudzić, ja tam jestem z tych drabów, co to mają dość niskie mniemanie o sobie, a to się szczerze przydaje w okolicznościach takich jak ta, kiedy muszę wysłuchiwać opieprzania od szanownego wydawcy, moich wypocin literackich powszechnie nazywanymi, artykułami dla gazet o zajebicie wysokim nakładzie tegoż miasta. Ten głądził, a mój fotograf zamiast słuchać z pokorą, zaczął przytakiwać i robić dodatkowo głupie uwagi, notatki i zdjęcia, które rzecz jasna jemu też nie wyszły ostatecznie na dobre.

– Velasquez! – Mówił definitywnie do mnie – Pokryliśmy koszty wszelkich mandatów i temu podobnych po twojej jeździe po pijanemu sprzed dwóch dni, kiedy to miałeś pisać artykuł o tej nowo otwartej restauracji wypełnionej akwariami. Więc się grzecznie pytam: Gdzie jest mój cholerny tekst!

– E słuchaj Ivan, nie bądź taki groźny, wiem, że jestem nieudolnym kawałkiem krowiego shitu, ale tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że tekst przepadł. Gobliny go porwały.

– Benito, akurat tak się nieszczęśliwie składa, że muszę cię zwolnić.

– Co?! Nie! Proszę tego nie robić!

– Dostałeś szansę mieć te artykuły dla siebie, a ty to olewasz. To nowy cykl artykułów w tej gazecie, twoich artykułów. W tej sytuacji odbieram ci tę kolumnę, dam ją temu, który miał parę punktów od ciebie mniej. Przy pisaniu już pierwszego artykułu, są z tobą problemy.

– Nie! To tylko dzisiaj! Spadek formy. Daj mi ostatnią szansę, ja się zmienię, serio! Okey?

– Nie byłbym tego taki pewny – Wtrącił się ten zgrabiasty lunatyk ze spadającymi brylami.

– Zamknij mordę ty wsiowy zawistniku, jesteś tylko pieprzonym fotografem.

– A ty nędznym pisarzyną!

– Co? Zaraz się przekonasz, kto tu jest nędzny

Szczerze, nienawidziłem tego określenia i byłem gotowy na wszystko, kiedy...

– Cisza do jasnej cholery! Słuchaj, ty! – Wskazał na mnie, niewątpliwie jego owłosiony kikut ociekający potem, który ten nazywał palcem wskazującym prawej ręki – dostajesz ostatnią szansę, – gdy to mówił jego morda zaczęła mi się rozpylić przed oczyma, i zaczął, co najmniej przypominać świński ryj. Zostały tylko te jego paskudne rude kłaki rozsiane po całej mordzie. Kontynuując – pójdziesz jeszcze raz do tej restauracji i napiszesz mi tekst, a potem zobaczymy, a ty – teraz wskazał świniok na fotografa – masz słuchać, co Benito mówi, bo to on daje ci pracę, jest twoim partnerem i skończył wyższe studia dziennikarstwa, a poza tym jest moim kumplem i najlepszym pisarzem tego stanu, a ty jesteś tylko marnym fotografem, którego może kiedyś awansuję, jak przestaniesz się mizdrzyć jak panienka i będziesz robił to, co do ciebie należy, kapujesz? A teraz wy obaj... Wypierdalać z mojego biura!

Wtedy to fotograf wyszedł a ja rzecz jasna za nim i z powrotem zjechaliśmy potworną windą. Zapatrzeni tępo w przeskakujące cyferki. Spojrzałem na mojego wspaniałego partnera, któremu minka zbledła po wspierających słowach mego szefa. Gdybym go nie znał, sądziłbym, że dostał depresji. Klepnałem biedaka w plecy w geście „będzie dobre”, ale znów te bryle mu spadły. Zbadał mnie nienawistnym wzrokiem od góry do dołu, a ja się tylko mogłem uśmiechnąć krzywo dając do zrozumienia biedakowi, że będzie w porządku. Na którymś tam piętrze zatrzymaliśmy się i wszedł niski, łysy i chudy, rozdygotany (dosłownie) karaluch ludzki miętolący jakieś dziwne przyrządy w ręce. Wczłapał i patrzył się zza ramienia na nas obydwu. Uśmiechnąłem się. – Co jest Kochaniutki, czyżbyś poznawał sławnego pisarza? Może chcesz autograf?

Karaluch podskoczył i wszystko, co trzymał w tych swoich oślizgłych łapach wypadło mu, jakieś kolorowe kabelki, coś jak dyktafon, słuchawki i znów kabelki. Schylił się dalej gapiąc się na mnie i pozbierał te swoje śmieci. Spytałem go:

– No pochwal się, co robisz w tym przeogromnym wydawnictwie? Mogę napisać o tobie następny artykuł, a przynajmniej napomknąć coś o takim jak ty. To kwestia wiary i pieniędzy.

Dajcie wiarę, że drab nie pisał ani słowem, coś tam postękał i pokiwał głową. Rzuciłem:

– Widzisz Manolo, bierz z tego pana przykład, ja tu jestem od gadania, a ty od fotografowania, ja mówię, a ty milczysz, nie? No właśnie, ach, a gdyby cię ktoś pytał o coś to udawaj, że masz porażenie mózgowe czy coś w tym stylu, oh yeah?

Fotograf znów rzucił mi te swoje nienawistne spojrzenie niby to intelektualisty, niby starego łabędzia trapionego wszami nieznanego pochodzenia. Rozkręcałem się wraz z działalnością podjęzykową mojego kwasu i wyszliśmy na bulwar, czy jak to tam się zwie, no na ten taras dla taksówek i samochodów dla pracowników. Piekarnia! Nie, parking! Od razu odszukałem mój dystyngowany wóz, któremu chyba nic już nie pomoże, żaden lakier, silnik, remont, wymiana świateł, zderzaka, chyba tylko radio działało. Wyśmienicie odbierało wszelkiego rodzaju szumy. No po prostu istna awangarda dla strudzonego ucha wysmakowanego w nienaganne gusta około muzyczne. Komercję tępiłem jak karaluchy.

Weszliśmy do tego prehistorycznego pojazdu, które wydawnictwo mi podarowało, jako gest dobrej woli, a potem chciało mi wymienić na coś nowszego, ale ja już jestem takim sentymentalnym draniem i się przywiązuję do takich pierdół. Tylko zapaliłem silnik, poczułem swąd tego rozprzestrzeniającego się za samochodem duszącego, czarnego dymu. Włączyłem radiowe szumy na cały regulator. Samochód wydał z siebie skrzek astmatyka o zapyłającym poranku, i ruszyliśmy klekotem bez jednej opony, szurając po asfalcie. Moja zabawka nadająca się tylko na taśmę destrukcyjną podwiozła nas nieznaczny kawałek, pod jubilerski sklep znajdujący się na drugim końcu tej samej ulicy.

Zgasiłem mego geparda i z tylnego siedzenia podniosłem mój piękny, czarny, zimowy (zdecydowanie) kożuch z cielej skóry, za który zabuliłem, co nie miara. Chuj, że było lato. To jedyny burzujski ciuch, jaki mam. Cała moja premia na niego poszła. Przywdziałem go w samochodzie mając wiadome trudności, bo chciałem wyjść jak panicz z dobrego domu i się zaprezentować światu, jako ten, który na śniadanie zżera jajka z kawiozem, zagryza sałatką z oliwkami i zapija wytrawnym czerwonym winem za 250 dolarów. Wylazłem, zakrywając wszystkie

najbardziej usyfione części mej zewnętrznej garderoby i wszedłem do jubilerskiego z zamiarem kupna zegarka.

Dreptałem po błyszczącym linoleum i oglądałem za oszklonymi szybkami zegarki, spodobał mi się jeden z metalowymi wyciętymi kółeczkami na pasku, i podobizną Lincolna na tarczy. Poprosiłem o niego, wyjmując jednocześnie mój zdezelowany portfel, jak nietrudno się domyśleć, nie za bardzo pasującego do pana z bogatej rodziny, czy czegoś pokrewnego. Panienska uśmiechająca się do mnie przez błyszczącą protezę i zaczęła pakować to owe cacuszko. Momentalnie w tym momencie, wpadły mi w oba oka ciemne okulary o takich jajowatych szklach i w złotych oprawkach, niby skrzyżowanie Johna Lennona i Lary Croft, poprosiłem też o nie. Podczas gdy sprzedawczyni je pakowała, ja poczęstowałem się z wiklinowego kosza stojącego na ladzie lizakiem, i tak jakoś mi się od razu przykleiła mi się cała garść. Nie żebym był pazerny, czy tam miał słabość do wszystkiego, co darmowe, skąd żesz znowu. Włożyła mi obie rzeczy do papierowej torby z napisem firmy sklepu, zapłaciłem i wyszedłem. Wgramoliłem się do wozu. Manolo przyglądał mi się uważnie, wścibski jak cholera, w sumie też bym był jakby wyszedł po dłuższej chwili ze sklepu jubilerskiego. Odwinąłem papierek z lizaka i podałem partnerowi. Przyjął go patrząc mi głęboko w źrenice, sądząc chyba, że zamierzam go otruć czy coś, ale ja po prostu chciałem być miły. Włożył go do ust i coś wybelkotał. Chyba „dzięki”. To samo zrobiłem z drugim lizakiem, tylko, że tego włożyłem do swojej mordy. Wyciągnąłem zegarek zakładając go na lewą rękę, a potem te fajowe okulary.

- Powinieneś się leczyć.
- Psychiatra powiedział, że jestem zdrowy.
- Powinieneś iść do innego. Znam jednego, bardzo dobrego.
- Chyba niezbyt dobrego, skoro tobie nie pomógł.

Wycofałem wóz do tyłu tak raptownie, że biedaczek wyrznął w szybę i kolejno opadł do tyłu krztusząc się lizakiem, który utkwiał mu w całości w przełyku.

– Na przód, nie umieraj mi tutaj, najpierw zrobisz mi kilka zdjęć, potem możesz zdychać.

Popędziłem gruchotem w miejsce ostatniej kraksy, zarówno samochodowej jak i literackiej.

Restauracja była wypełniona najróżniejszymi akwariami, z czego w środku był taki dziwny klimat, zwłaszcza dla mnie. Małe rybki przeistaczały się w monstrualne mutanty zdolające przenikać szyby i zjadały mnie w całości. Dałbym sobie kinol uciąć, że tamta mała rybka naprawdę przeistoczyła się w tamto coś. To coś to chyba był Emenem, ten rapu, ale nie wiem, czy naprawdę to był on. Potem następuje długa luka w pamięci, a następnie, co pamiętam, to suszenie się. Zawsze coś mi unika, zawsze najciekawsza część, albo zasypiam, albo zawsze chce mi się szczać w kulminacyjnym momencie, którego akurat nie nagrywam na wideło. Tak to było trzy dni temu.

Według moich najświeższych wiadomości wczoraj miały być tam dostarczone dodatkowo do uatrakcyjnienia lokalu, do którego dojeżdżaliśmy, żaby. Zaparkowałem z łoskotem przed drzwiami lokalu. Z tej strony wyglądał jak jakaś komunistyczna knajpa gdzie klienci wychodzą z pełnym brzuchem, nawet nie wiedząc jak szybko go opróżnią. Gdy tylko wyszliśmy z fury, wyszedł nam na spotkanie chiński, łysy kelner, który niewątpliwie nas rozpoznał, i krzyczał coś do nas machając tasakiem. Podeszedłem do niego chwiejąc się na boki, kręcąc kluczykami, rzuciłem nimi do niego i nakazałem wypucować i odstawić wóz. Taki żarcik, nie wiem jak on go przyjął, ale wiem, że Chińczyk nie miał poczucia humoru. Wciągnąłem z tylnej kieszeni, tam gdzie portfel, mały notesik, przerzuciłem kilka zapisanych stron, które mnie uszczęśliwiły, bo były zapisem tego czegoś, podczas pierwszej wizyty tutaj. Że też nie wpadłem na to wcześniej. Lecz gdy zacząłem się wczytywać, zastanawiałem się, czy nie opisałem w końcu mojego literackiego marzenia, narkotycznego sajens fiksyzyn.

Stanęliśmy na środku salki, było ciemnowo, wokół sali na około były te akwaria wypełnione rybami łykającymi bulgoczącą wodę. Zawsze mnie to zastanawiało. Ryby żyją w wodzie, mają jej pod dostatkiem, i używają jej. Więc dlaczego one tak śmierdzą? Nie mają mydła?

Pośrodku sali była ta zapowiedziana nowość, żaby, skrzeczące, kumkające, wążące na siebie, rechoczące, zielone stwory, spowite pod wysoką szklaną kopułą wypełnioną nie tylko nimi, ale także im koloru podobnymi nieznanymi glonami. Przyglądałem się im tak i ukradkiem zapodałem

kolejny znaczek psychodelika, od którego zakręciło mi się w głowie. Niewątpliwym plusem, i faktem, trzeba przyznać, jest ten mój dupkowaty fotograf, który nie bierze żadnych używek. Dajcie wiarę, ten facet nawet kawy nie pija, a jak się już napije, chociażby łyczek, to przeżywa tak jakby ubolewał nad śmiercią wszystkich głodujących dzieci na świecie. Na końcu opętują go samobójcze myśli. No, ale niestety potem to mi wmawiają, że jestem pojebany, i mam dziwne poczucie humoru. Jestem do cholery tylko pisarzem zarabiającym w uczciwy sposób na fundamentalne środki do życia, takie jak kawa, srajtaśma i papierosy.

Postanowiłem przeprowadzić najpierw wywiad, z jednym z kelnerów. Zauważyłem tylko jednego na widoku. Był to niski chłopaczek, zdający się mnie bać, wyglądał jak mandaryn, którego twarz jakoś dziwnie się wydłużała aż do ziemi i zionęła ogniem. Odsunąłem się by mnie tym ognistym podmuchem nie poparzył, i wtedy zrobił się malutki, taki podstęp, że niby jestem daleko. Wiedziałem, że szykuje się by mnie podpalić. Krzyknąłem, mając nadzieję, że mnie usłyszy, a przynajmniej zrozumie kluczowe słowa. Pamiętając lekcje fizyki, że z odległości głos idzie z opóźnieniem, czy coś w tym stylu, robiłem nieznaczne przerwy między wyrazami, ale przez grzeczność, przywitałem się, dając upust znajomości podstawowych słów języka tego młodego smokożabola.

– Ko! – Ni! – Chi! – Wa!

Niemal słyszałem jak głos mknie niczym przez doliny i rzeki, odbija się od akwariów zniekształcając je, i falując jak kamień wrzucony do wody. Ryby się wzburzyły i patrzyły na mnie. Próbowałem się wymknąć niezauważenie, by mnie nie dopadły. Wpadłem na coś, co zagrzmiało. Opadłem na miękki dywanik w perskie wzory i zobaczyłem tą żabią kopułę. Wstałem, i powiedziałem sobie, że jestem zawodowcem i muszę zrobić ten artykuł. Odnalazłem tego żabolo-smoka, mimo, jego bliskości dalej zdawał się być o milę stąd.

– Więc przyjacielu, jestem z gazety i mam napisać artykuł o tym lokalu i o żabach.

– Acha, miło poznać, jestem kelnerem, samo „kelner” w zupełności wystarczy.

– Dobra młody smoku, kto spłodził te żaby? Czyżby ty?

Usłyszałem ogłuszający rechot przeplatany rozmową tego Chińczyka. Zacząłem rozglądać się nad sobą, bo to stamtąd dobiegały te dziwne dźwięki. Sięgnąłem do lewej ręki po dyktafon i włączyłem go do nagrywania, by uchwycić je na taśmie. Wciąż się rozglądając przystawiłem instynktownie pod usta młodocianego kelnera. Musiałem go nim uderzyć, bo zawył przeraźliwie i złapał się za nie. Jego usta zaczęły opadać i rozciągać się na boki. Oczy zafalowały i powieki zamknęły się wyskakując z boków jak atakujących kameleona, były całe żółte. Udawałem, kryłem się, że wcale się nie boję. To było jak w zwolnionym tempie.

– Do jasnej cholery żabciu, czy mógłbyś powtórzyć to do dyktafonu?

Jego policzki się nadmuchiwać zaczęły jak dwa potężne balony, a ja poczułem, że się przewracam. Te cholerne żaby jakoś uciekły z tej kopuły i były wszechobecne i atakowały. Zapadałem się w nie niczym w ruchome piaski. Usłyszałem za sobą potężny ryk. O tyle ile mogłem odwróciłem się i zobaczyłem zamiast małego żółtego kelnera, potężnego zielonego wijącego się smoka idealnie kontrastującego z ciemnoniebieskimi akwariami, które ryby w nich pozawierane niczym w konserwach, zdawały się wylazić. Smok spojrzał na mnie i buchnął ogniem fajcząc mi plecy. Krzyknąłem i zacząłem wierzgać chcąc by ogień zgasł.

– Na miłościwość bossiejszą! Te ryby! One chcą się wydostać! One się topią!

Przez moment myślałem, że czymś rzucę, ale miałem tylko dyktafon. Wygiąłem się niczym guma, nienaturalnie, chwyciłem krzesło i rzuciłem nim na oślep za siebie, myśląc, że jak nie trafię w akwarium, to przynajmniej ogłuszę smoka. Trafiłem w łysiego kelnera, który właśnie wchodził do środka, po odstawieniu mojego wozu, a teraz wrzeszczy z bólu chcąc się wyczołgać spod tego, czym w niego rzuciłem. Nic nie mogłem zrobić, bo zagłębiałem się w morze śluzowych ropuch. Jednak będąc cholernym zawodowcem trzymałem dyktafon przed obliczem kelnera, który opluwał mi dłoń swoim pół chińskim, pół naszym językiem. Grunt żeby mówił, cokolwiek. Najważniejsze są fakty.

Ogień przestał mnie już parzyć, gdy zobaczyłem, że ten mały kelnerski łysol wyciąga za pasa potężny miecz samurajski i zaczyna coś napierdzielać po swojemu. Muszę to później dać do

tłumaczenia. Do dogłębnej analizy. Ogromny, brodaty samuraj zaczął się do mnie zbliżać machając mieczem przed oczyma, ale nie mógł mnie dosięgnąć, bo dosyć, że się wyginałem na wszystkie możliwe strony, to żaby skutecznie porozchodziły się i nacierały, blokując przejście dla niego.

Obejrzałem się do tyłu, smok właśnie szykował się do ponownego natarcia ognistym podmuchem na moje sfajczone plecki. Wygiąłem się do przodu maksymalnie by ogień przeleciał przeze mnie, i tak się stało, ale byłem jednak narażony na obłąkańczy dotyk żaboli, ale lepsze to niż ogień. Poczulem żar przelatujący nade mną i ogień trafił w tego cholernego samuraję, spalając go na popiół. Żaby uciekały spode mnie przestraszone. Wyczołgałem się i stanąłem pod jednym z akwariów, dygocząc ze strachu, a coś łupnęło za mną. Krzyknąłem i przewróciłem się prosto na akwariów. Za szkłem zobaczyłem ogromną złotą rybkę, z potężnymi zębami i wytrzeszczem oczu. Odpłynęła, ale mogła coś knuć, więc odszedłem od tego miejsca.

Spojrzałem na skupisko żab. Te gady rozrastały się w olbrzymiego żabiego grubasa, wypełniającego całe to żabie terrarium. Chińczyk, niski kelner, niemal liznął mnie tym swoim żabim językiem wyrastającym z żabiego pyska. Odskokczyłem z niepomaganym strachem krzyżując ręce na znak jesusowy.

– Ty gadzino, opuść ciało tego biednego chińskiego kelnera!

Usłyszałem straszliwy łoskot, kiedy to zza drzwi wyszedł potężny grubas o twarzy ohydneho kameleona oblizującego całą swą chropowatą mordę. Za nim stanęli łysy samuraj oraz kelner żabi smok. Kameleon miał na sobie ciemno niebieski garnitur. I najwyraźniej szedł w moją stronę, jakoś czułem, że nie jest zadowolony, ale nie uświadomiłem sobie w pełni, tego, dlaczego. Zacząłem dygotać, gdy poczułem na moim ramieniu rękę i owłosione kikuty mego partnera, zaczął mówić.

– Ten pan ma klaustrofobię, boi się ryb, nie spał od zeszłego tygodnia, rzuca palenie i w dodatku jest dziennikarzem, proszę mu wybaczyć. Ale napisze książkę o waszych wyczynach. A teraz musimy już iść, mamy co trzeba.

– Papierosa. – Rzekłem od niechcienia. – Oni przetrzymują papierosy jak zakładników.

– A teraz idziemy i gorąco dziękujemy, za umożliwienie nam sfotografowania tej restauracji.

Nie wiem, jakim cudem, ale temu Manolo, to ja jeszcze się odwdzięczę

No i z powrotem byliśmy w wozie, łysy kelner się nie spisał, ale nie miałem mu tego za złe, w końcu zrobił swoje, odstawił go na parking. Nie zapłaciłem, ale pewnie jeszcze będzie okazja. Gdy tak jechaliśmy, w miarę stabilnie kierowany przez mojego zawodowego fotografa, rozklekotany gepard, aż dziw jak się go ładnie słuchał. Byłem pod szerokim podziwem dla tego rozczochanego okularnika. Manolo znał miasto lepiej ode mnie, ale to tylko dlatego, że widział je takie, jakie jest, a nie takie, jakie widzę ja. No i nie zwraca uwagi na budynki, zdające się wyginać i zaglądać do samochodu, oraz pieszych, których twarze są niebezpiecznie blisko mojej.

Zaproponowałem, żeby zajechać coś zjeść, obrobić tekst i wywołać zdjęcia by, jeśli się dało, to jeszcze dzisiaj oddalibyśmy go Paeuvertowi.

Jadąc próbowałem się odprężyć i odpocząć. Ukoić myśli. Jechaliśmy, chyba ze dwadzieścia minut, to wystarczyło do ogarnięcia się po kwasie. Fazy były dalej, rzecz jasna, ale nie tak intensywne. Potrafiłem nad nimi zapanować. Wyciągnąłem mój notesik z fabrycznie drukowanym autografem Dalego na każdej stronie i zaglądałem w swoje notatki, którego słowa przypominały spowiedź obłąkanego. Mimo wszystko odczytując kluczowe słowa, dało się przewidzieć, co miałem na myśli. Oddzieliłem te notatki od listy zakupów i cytatów i na powrót schowałem do kieszeni. Myślałem głośno, ale bardziej przypominało to trwałą konwersację ze samym sobą, bo jednak trzeba, kiedy nie ma nikogo w pobliżu, pogadać z kimś inteligentnym. A ja byłem najbardziej inteligentną osobą, jaką zdołałem poznać, nawet na studiach nie było nikogo takiego. Ale jak do konwersacji dokłada się jeszcze jedna osoba, to wtedy mam małe wątpliwości. No, więc, jak powiadam: gdzie człowiek nie może, tam Benito pomoże.

Wypełziliśmy z wozu i wpełzaliśmy, do niby restauracji, ja zająłem stolik, a Manolo zamawiał coś, co da się zjeść i nie zająć w konflikt z własnym żołądkiem. Jakoś nie miałem tylko ochoty na rybkę. Była to schludna knajpka, wszystkie ściany były zrobione z pięknego ciemnego drewna, a do niego poprzybijane świecące lampioniki, światełka choinkowe, od których migoczących światełek można było dostać oczopląsu. Wyciągnąłem papieroska i zacząłem go ćmić czekając na kolegę,

który po zamówieniu dał mi znak, że wraca do samochodu. Pewnie po portfel lub coś w tym stylu, krzyknąłem za nim by przyniósł mi z bagażnika moja maszynę do pisania. Kiwnął głową i wyszedł. Wyciągnąłem dyktafon, przewinąłem mikro kasetkę do początku, i odsłuchałem pierwsze słowa. Nagrało się czytelnie, byłem zadowolony, że nie będę musiał słuchać bełkotu po kilkadziesiąt razy.

Gdy tak tonąłem w bezsensownych rozważaniach, usłyszałem przeraźliwe drapania tuż za moimi plecami. Odwróciłem się i spytałem sam siebie, „co jest grane?”. Ale nikt mi nie odpowiedział. Może ktoś coś robił po drugiej stronie ściany, nie wiem, bo nie widziałem z tej strony. Nawet przez myśl przeszło mi, że mimo ekstrawagancji i ekskluzywności mogło to być termity. Zdarza się, termity są jak choroba, i nawiedzają nawet najczystsze placówki, to tak, jakby sama królowa Anglii zaraziła się przez przypadek syfem nieznanego pochodzenia. Nie mówię, że królowa Anglii ma syfa, ale chcę naświetlić, że taka rzecz jest możliwa.

Termity ustały. Manolo wszedł trzaskając drzwiami, strasząc dwie staruszki sączące kawę, przy stoliku. Podeszedł do mnie i położył maszynę przede mną. Grzecznie podziękowałem:

– Dzięki Menelu.

– Manolo.

– Manuelu. Słuchaj skarbie, czy znalazłyby się jakieś fundusze na małą czarną z cukrem?

Manolo skinął głową niepozornie. Oprócz bycia fotografem, jest moim zabezpieczeniem inwestycyjnym. Moje miesięczne fundusze, z niewiadomych mi przyczyn znikają po dwóch dniach, Manolo został mi przydzielony by wyjaśnić tą zagadkę. Gdy kawa w filiżance stanęła grzecznie na stole przede mną, zgasilem papieroska by zapalić następnego. Kocham te dobrodziejstwa, które na nasz świat spuścił dobry, wszechmogący, najbardziej uznany eunuch, który spłodził więcej rzeczy w siedem dni, niż facet, który kisił w sobie cały ten zapas. Manolo nie zapomniawszy nawet o kartkach do maszynopisu, widział, że palę, a ja widziałem, że jest z tego powodu bardzo niezadowolony.

Wsadziłem papier w maszynę, myśląc, jak zacząć temat, który wszyscy omijają z daleka, uważając za irytujący, i zdołający zburzyć całą ich karierę. Ale ja wiem, co mam pisać, zawsze, a teraz z czasem patrzenia na kartkę, wymyślałem poszczególne kompilacje słów, które pomogłyby mi zdobyć Pulitzera. Tam gdzie zwykły pismak nie widzi, co miałby napisać, mi nachodzą różne pomysły przed oczy, bo określam głupi artykuł tak, jakby to miała być ostatnia rzecz, jaką miałbym w życiu napisać. Dlatego jestem dobry. Wtedy to, kelnerka przyniosła nam spaghetti polane sosem pomidorowym i na wierzchu było także trochę roztopionego sera.

– No to siup, w ten genialny dziób.

Manolo spojrzał się na mnie z czymś w rodzaju ironii, bo przestał nawet jeść, gdy wsadziłem ogromną ilość spaghetti, rozpychającą mi policzki tak, że bełkotałem niemiłosiernie, plując sosem na wszystkie strony.

– No dobra, dobra, zamknij się, i żryj, nie musisz nic więcej mówić. – Powiedział.

Grzecznie zacząłem przeżuwać.

– Wiesz – zaczął Manolo nazbyt przeze mnie niechcianą konwersacją. – Wokół fotografów krąży taka pewna niezbadana legenda, a właściwie wokół całej gazety.

– Mianowicie? Może do puenty?

– Wszyscy szukają odpowiedzi na pytanie, „Co się stało z popromiennym snem?” Nikt nie wie, co to jest ani o co chodzi, ani gdzie szukać odpowiedzi. I co ty na to?

– Niezły tytuł na kolumnę.

Zastanawiałem się, czy ten drab, w zawiści nie chce mi zrobić niemiłego psikusa, ale jakoś mu ufałem, nie wiem, instynkt, albo koleśowi porządnie patrzyło z ust. Znaczy z oczu. Bo z ust mu ciekło. Może się znajdzie ktoś, kto będzie w temacie, czy coś, nawet nie chce myśleć, z czym się wiąże rozwiązanie takiej zagadki, może dostanę Nobla albo coś w tym stylu, nie żebym był jakimś obsranym megalomanem, i wierzył nie tylko w siebie, ale we wszystko, co do mnie mówią. Od teraz będzie to mój poboczny cel.

– Ach, i Ivan też o tym wspomniawszy, mówił, że ten, kto znajdzie odpowiedź dostanie bardzo wysoką premię. Ja mówię to tobie, bo wiem, że jesteś dobry.

– Och żeż. No cóż, spróbuję coś powęszyć.

Szefowi ufałem niemalże bezgranicznie, jak ktoś się kimś, (znaczy mną) opiekuje i daje

pracę, to jak nie wierzyć takiemu miłemu, grubemu i nerwowemu panu jak pan Paeuverte. Przeżuwając makarenę, tfu, to jest makarona, wyrząłem za okno, i to, co zobaczyłem, nakazało mi się instynktowne schować tak by mnie nie było widać, z ulicy. Byłem jednak nieco podenerwowany, ale widziałem tego ohydneho gadowatego stwora z tej rybiej restauracji. Pewnie mnie śledzi, ale czyżby chciał się zemścić za to, co było w tym lokalu? A nawet, jeśli to pewnie chce mi zrobić trwałą szkodę na ciele, a i już wtedy źle mu z oczu patrzyło. Gdy tylko odszedł, termity wróciły, nie dając mi się skupić, posłałem przestraszone i zdeorientowane spojrzenie memu fotografowi, i spytałem czy je słyszy.

– Co mam słyszeć? – Nachyliłem się przez stół i on też i wyszeptalem.

– Termity!

Wyraźnie doskwierały, słyszałem je wszędzie, przemieszczały się z miejsca na miejsce wokół mnie, jak pchły po sierści parszywego psa. Rozglądałem się, niemal wyczuwałem te nieziemskie drgania i wibracje we wszechobecnym drewnie.

– Stary uspokój się – powiedział Manolo, spojrzałem na niego ze wzrokiem, jakbym nie usłyszał pytania, i prosił o replikę – To tylko halucynacje.

– Myślisz, że możesz być moim przyjacielem?

– Jezu, zaczyna się.

– Myślisz, że Ci ufam? A co powiesz o tym koleśiu od podsłuchów, myślisz, że nie wiem?

– O kogo ci kurde chodzi? O tego w windzie? To koleś z radia miejskiego! – Zdradził się.

Nie wiedziałem tylko, kto je wysłał, niebo? Piekło? Rząd? Ivan? Policja? Moja zmarła matka? Może mafia? Teściowa byłej dziewczyny? Pan kameleon?

Zajrzałem pod stół.

– Nie! Tam stanowczo nikogo nie ma!

– Ale Benito, o co ci do cholery chodzi?

– O termity! Pana kameleona i tego faceta od podsłuchów.

Rany wszystko zaczęło wirować i się zmieniać jak w kalejdoskopie połączonego ze ściekającą farbą olejną. Próbowałem się przedrzeć przez tę jaskrawą dżunglę, i dostać do mojej maszyny. Potrzebowałem rozpuszczalnika by to wszystko pokonać. Coś mnie pieprnęło w mordę, jakieś żółte światło.

– Żebyś mi tu zapaści narkotycznej nie dostał, nie chcę cię wynosić na plecach. Nie mdlej.

– Stary, nie krzycz, podaj mi wreszcie ten rozpuszczalnik te cholerne farby chcą mnie zamalować na całego, uwierz mi!

I oto widziałem swój cel, moją cudną maszynę stała stabilnie pomiędzy wirem koloru, a ja czołgałem się zaciskając oczy. Próbowałem przedrzeć się przez ten tęczyowy prąd barwnej rzeki.

– Co ci potrzeba, czego chcesz? – Spytał mnie z oddali.

– Wiosło, stary, daj mi wiosło!

I morze ustało i pojawiła się płaszczka w ubraniu jędrnej kelnerki. Poczułem, że patrzy na mnie. Robiłem wszystko by nie pokazać, że jestem zdziwiony. Uśmiechnęła się pytająco.

– Podać coś jeszcze? Dobrze się pan czuję?

– Ma meduzo, jak cholera, w pyte spaghetti! – Odparłem, myśląc, że coś podejrzuwa.

– A, cieszymy się, że panu smakuje.

– Przepraszam za niego, nie wziął dziś lekarstw.

– Aha, dobrze, nie ważne.

– Weźmiemy panią do bagażnika, jak będziemy czegoś potrzebować.

Próbowałem zbadać jej falujące, przeźroczyste ciało, dotykając ją palcami. Spojrzała na mnie. I Manolo klepnął mnie z całej siły po ręce. Cofnąłem ją i zawyłem cichutko z bólu.

– Nie ruchaj pani, dobrze? Masz tutaj jedzonko, ładnie zjedz a pani może cię nie wykopie za drzwi za naprzykrzanie się. – Meduza uśmiechnęła się.

– Ależ skąd, to ja już pójdę.

Manolo kiwnął pani ładnie, a gdy odeszła burknął coś wulgarnego, co nie miało koniecznie dolecieć do moich uszu, ale na pewno było w podświadomości skierowane do mnie. Zaczęły mnie po chwili swędzieć plecy, podrapałem się dyskretnie o ścianę. Manolo nie zauważył tego gestu.

Ustało. Ale na okres nie krótszy niż nawiązanie kontaktu wzrokowego z makaronem. Podrapałem się o ścianę za mną ponownie, lekko sycząc. Manolo spojrzał na mnie, ale na szczęście nic nie powiedział. Jadł dalej przeglądając jakąś gazetę. Wtedy coś naprawdę mnie zaswędziało. Zadarłem do przodu moją koszulę i zacząłem się obscenicznie drapać, mimo, że nie mogłem dosięgnąć. Na różne sposoby próbowałem, wierzgałem, myślałem, że albo zedrze sobie skórę, albo oszaleję z tego swędzenia.

– Ty cholerny idioto – powiedział nachylony w moją stronę, – co ty u cholery znowu wyprawiasz, ludzie się na nas gapią, zaraz zadzwonią na pogotowie psychiatryczne.

– Bo wiesz...

– Co?!

– Te cholerne termity!

– Ubierz się i uspokój, bo nie termity, ale ja będę twoim najbardziej realnym zagrożeniem.

– Ty świni, grozisz mi?

– Nie naciągaj struny, bo pęknie ci w twarz.

– Ty się z nimi sprzymierzyłeś.

– Z kim u licha?

– Z nimi... – Rozwarłem szeroko powieki, aż mi o mało oczy nie wypłynęły. Czułem to.

– Weź kończ jedzenie, idziemy stąd. Przez ciebie będę to urocze miejsce omijał z daleka. I weź się w końcu do pracy, jeśli oczywiście zależy ci na pracy.

Manolo powrócił do czytania, pijąc swoją kawę. A mnie termity opuściły, i nastąpiła taka błoga cisza. Odsunąłem talerz, przysunąłem maszynę do siebie, sprawdziłem kilka klawiszy, jak to one pięknie stukać potrafią, daję mnie i tym durniom naokoło mnie do zrozumienia, że jestem pisarzem. Wsadziłem kartkę, zakręciłem wałek, i włączyłem dyktafon chcąc znaleźć mowę tego przekłętą samuraja, by wiedzieć gdzie jest ten kawałek, by jak planowałem, dać komuś do tłumaczenia. I szukałem i nic. Jakieś bredzenie kelnera, przynajmniej na temat i po naszymu, w związku z tamtym rybem lokalem. Materiał miałem. Spojrzałem na notatki w notesie, i podkreśliłem słowa najbardziej czytelne, i byłem gotowy do akcji. Próbowałem skonsolidować myśli, notatki, nagrania i zdjęcia, które widziałem na aparacie, wraz z tym, co sam pamiętałem, i co pamiętał i mi wyjaśniał Manolo. Wtedy miałem zacząć pisać obszerny artykuł na jakieś osiem stron maszynopisu. Pisanie przychodzi mi z łatwością, jest tak sugestywne i proste, jak defekacja. Wsadziłem papierosa nie do ust tylko między zęby i odpaliłem. Zaciągnąłem się, wziąłem powolny łyk kawy, zaczynając pierwsze słowa, które były jednocześnie końcową formą pierwszego artykułu nowej kolumny, a jednocześnie, pierwszym rozdziałem tej niesamowitej powieści.

Rozdział 2. NIEPOCZYTALNI

Spojrzałem na zegarek. Siedzieliśmy tam czterdzieści minut. Manolo się wczytał, a ja się wpisałem. Czułem się bardziej trzeźwy od innych, co mi przeszkadzało. Pstryknąłem palcami i pomachałem. Manolo spojrzał na mnie spode łba i odłożył gazetę. Gestem spytałem czy idziemy. Spojrzał na zegarek i kiwnął głową.

– Skończyłem artykuł.

– Świetnie, w końcu coś. Chodźmy najpierw wywołać zdjęcia, potem przejrzymy ten tekst.

Manolo wziął tekst do ręki i przeczytał nagłówek. „Nowy dokument tekstowy”.

– Tak zamierzasz nazwać ten cykl artykułów? Żartujesz chyba – wielce rozbawiony patrzył powierzchownie po wszystkich stronach.

Nie wiem jak i kiedy, ale wyleźliśmy z tej ponurej nory. I zaraz napotkaliśmy niemałe trudności z wejściem do własnego wozu. Trzech okropnych, murzyńskich tłuszciochów, siedziało w dwudrzwiowym samochodzie, i beznamietnie gapili się gdzieś w drugi koniec ulicy. Ich samochód stał bezpośrednio za naszym, a przed nim dodatkowo stał jeszcze jeden, co w przybliżeniu kalkulacji daje nam taki wynik, że mamy zablokowany wóz. Podeszedłem i zastukałem w okno, tego, w którym ktoś był. Okienko się otworzyło, a ja oparłem o nie dłonie świecąc moim pięknym zegarkiem im po oczach.

– Czego? – Spytał jeden z nich.

- Czy moglibyście na moment wycofać wóz byśmy mogli wyjechać?
- Moglibyśmy.
- Świetnie. Dzięki za współpracę.

Odszedłem słysząc jednocześnie jakąś szamotaninę.

- Rękę! Widziałeś, co miał na ręce?!

– Zamknij się durniu, bo nas usłyszysz. – Czy coś w tym stylu. Domyśliłem się wnet, że chodziło mu na pewno o mojego kosztownego roleksa, bo zapewne chciał powiedzieć na głos tą znaną firmę, ale tamten w przypiływie zazdrości mu przerwał. Albo, co też by można wziąć pod uwagę, że nie chciał wyjść na buraka pokazującego na drogą, markową rzecz, którą on mi zazdrości. Zachichotałem ostentacyjnie i wszedłem do samochodu. Tamci, zaczęli się wycofywać.

Wyjechaliśmy samochodem i zaczęliśmy jechać przed siebie, mijając przy tym owy sklep jubilerski, w którym zakupiłem owo cacuszko. Szkoda, że nie miałem na sobie tych bajer okularów. Ale jeszcze będzie okazja do zaszpanowania nimi.

Kolejnym celem, było szukanie dogodnego sklepu z alkaicznymi bateriami do mojego roboczego dyktafonu.

Gdy tylko weszliśmy do pobliskiego ogólnie spożywczego, za nami dobiegł pisk rozpędzonego samochodu, i po chwili odgłos stłuczki, i odrywany metal pomknął przez ulicę jak stara gazeta. Nawet się dymić zaczęło. I tu wychodzi to, dlaczego zostałem dziennikarzem, zawsze jest jakiś temat, na który można napisać, trzeba być tylko w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu, czy jakoś tak.

Manolo pyknął kilka zdjęć, a ja po ich wywołaniu miałbym napisać jakąś wyssaną z palca rzecz. Bo ludzi nie interesuje prawda tylko sensacje. Po całym zajściu, weszliśmy do sklepu. Stanęliśmy w kolejce, a przed nami stał jakiś facet. Nachalnie zaglądałem mu przez ramię zaciekawiony, co kupuje. Taka choroba zawodowa, o nazwie „palec w dupie”.

- Baterie. Dwie. AAA. – Zająknąłem się.
- Momencik – powiedziała w miarę grzecznie, skuliła się na bok i kichnęła.
- Pamięta pani? – Przerwałem jej.
- O czym?
- O zamykaniu oczu.
- Zamykaniu oczu?
- Tak. Przy kichaniu.
- Nie rozumiem.

– Ludzka rzecz. Podobno jak się kichnie i nie zamknie powiek to oczy wypadają.

– Będę pamiętała następnym razem. To, co miało być?

Do sklepu wszedł typ z brodą. Sklepiarka miała złe wiadomości.

– Jak to nie ma? Najpierw mi pani mówi, że zaraz, robiąc tym nadzieję... ej stary widziałeś to? – Spytałem gościa, który właśnie wszedł, ale on w przypiływie dobroduszości powiedział

- Chcesz o tym porozmawiać?

Gadał jak moja psycholog szkolna w liceum, co to zwracała się do wszystkich jakby myślała, że jest w przedszkolu, albo, że wszyscy licealiści są jacyś popierdoleni. Ale to z nią było coś nie tak, na przykład, jak był jakiś trudniejszy wyraz to albo pytała się klasy, co to znaczy, albo kazała iść po słownik wyrazów obcych. Odpowiedziałem.

- Może by tak jej jebnąć?
- O czym wy obaj mówicie?! – Wtrąciła się w rozmowę. Spojrzałem na nią.
- O piłce nożnej. – Odpowiedziałem, a brodacze przytaknęli.

Odsunąłem się od kasy z szyderczym uśmieszkiem wrednej szui. Ale jednocześnie, gdy tak patrzyłem na tego brodacza, coś tak mnie tknęło i skojarzyło mi się, nie wiem, facet wyglądał jakby miał, co najmniej nie wszystkie neurony dobrze po podłączane.

– Co o tym myślisz? – Spytałem się pana neurotycznego – O tym filmie „K- PAX”, oglądałeś?

- No, bardzo prawdziwy. I świeży.
- Był do dupy!

– Że, co?

– Powiedziałem, że był do dupy!

– Jak to „był”, to już go nie ma?

– Zabili go i uciekł. Mogę streścić zarys fabuły, masz chwilę czasu? Powiem ci, dlaczego ten film jest do dupy.

– Mów dobry człowieku, a wysłucham Cię doszczętnie.

Spojrzałem mu w gałki oczne. Facet mówił na poważnie, i nie stroił sobie ze mnie żartów. Ale gdy tak stanąłem blisko niego, jeden mały szczegółik przykuł moją uwagę. Koloratka. Nie chcąc by uznał mnie za nachalnego zacząłem mówić.

– Już na samym początku tego durnego filmu, gliniarze zwijają dziwnego typu, za to, że według nich, wyglądał „podejrzanie”.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego wyglądał podejrzanie?

– No, bo miał te, okulary słoneczne.

– No i?

– Byli w ciemnym zamkniętym pomieszczeniu, a na zewnątrz padał deszcz.

– To jeszcze nie powód by go zamykać. – Odpowiedział ksiądz.

– Właśnie, ostatnio po rynku na przykład chodził pewien cwaniaczek, co to miał na kartonie napisane „zbieram na alkohol i prezerwatywy”.

– Zapierdolił kogoś by dosięgnąć celu?

– Nie wiem, chyba nie.

– A dosięgła go sprawiedliwość?

– Nie, i w tym sęk...

– No to ręka boża go dosięgnie. Zapewniam to.

– No a tu zamykają gościa za ciemne okulary. Ciekawe, co by zrobili temu i z plaketką?

– Pewnie by go ukrzyżowali.

– Albo nasłali tych z archiwum X. Ale wróćmy do fabuły filmu. Druga rzecz, jaka skłania do refleksji. Otóż, trochę później psychiatra pyta tego dziwaka o podchodzenie. Ten wyskakuje mu z odległej planety, na której to mają wyższy stopień ewolucji humanoidalnej i technicznej. Doktorek daje kosmicie banana.

– No i?

– No i on go zjada.

– Kurde, ja też potrafię zjeść banana. Czy to znaczy, że jestem z Marsa?

– Nie. Na Marsie nie ma bananów.

– Nie wątpię. Chociaż... Chodzi mi o to, że ten zjada go bez obierania i jeszcze od środka.

– Przecież jest z innej planety.

– Na której mają wyższy poziom rozwojowy, facet mógłby, chociaż wiedzieć jak się je banana.

– Cóż, może nie mają ich tam na planecie. Ale jaki z tego wniosek?

– Uwaga jam jest kosmiczny mesjasz miłości Darth Vader, przybywam w pokoju wy nędzne śmiecie kosmosu, nie zamierzam zniżać się do waszego poziomu.

– Rany.

– Ja cię chyba skądś znam. – Zapatruję się w niego z wyraźnym podejrzeniem. Znam go.

– Olivier Paschal.

– Samuel!?

– No, nie... Olivier!

– Ach, pamiętam cię... Co się z tobą działo?

– A nic takiego, wyjebali mnie ze szkoły.

– Ot faktycznie drobnostka.

– Zostałem kaznodzieją, głoszę słowo boże i karze złych ludzi.

– Ale powiem ci w tajemnicy Oli, wszyscy tak naprawdę są źli.

– Zatem wszyscy wymagają kary. Jezus. On płacze za tobą.
– To on żyje? Słyszałem, że wpadł pod samochód w zeszłym tygodniu.
– Nieprawda. Jezus płacze za nas, my płaczemy za Jezusa. Jezus umarł za nas, a my żyjemy i mamy to w dupie.

– Ciekawa teoria. Bierzesz jakieś lekarstwa?
– W szpitalu powiedzieli, że ze mną wszystko dobrze.
– Tutaj bym w tej kwestii się kłócił, ale niech im będzie. Ale w domu to wszyscy zdrowi?
– Tak. Gdziekolwiek są.
– Co masz na myśli?
– Niebo, piekło, czyściec...
– Nie żyją?
– Bóg ich zabrał, a ja mu pomogłem, własnymi rękami. Pewien dobry psychiatra pomógł mi.
– Aha.
– Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego nie mogę znaleźć dziewczyny.
– Stary, z takim ryjem?!
– Chciałbym być supermanem.
– Po co? Mało masz problemów?
– No wiesz, siła, męskość, oryginalność, przystojność.
– Daj sobie spokój. Czerwony, pedalski strój, lubieżny uśmieszek, gacie na spodniach, brak widocznych genitaliów pod nimi.

– Może je chowa do kieszeni?
– Albo jest eunuchem.
– A co z tą Luis Lane, czy jak jej tam było, mają się ku sobie.
– Widziałeś w którymś z komiksów, by zaszli dalej niż pocałunek?
– No, nie.
– Moja teoria się sprawdza, to chwyt marketingowy, by pokazać, że to normalny gość. I to nie tylko problem z nim, dlaczego wszyscy super herosi z komiksów wolą zbawiać świat niż pieprzyć się z kobitą? Odpowiedź jest prosta. Nie mają się, czym pieprzyć. To mutanci!

Zapadła cisza. Po chwili, Olivier odezwał się.

– Miałem kolegę. – Powiedział Olivier.
– I co? Wymienialiście się pornolami?
– Nie, komiksami supermana. Jak wrócę, to spalę swoją kolekcję supermanów, teraz wyszło, że to, co tam jest zawarte to kłamstwo i manipulacja.
– Świetne nastawienie. Słuchaj, masz chwilę czasu?
– No, zbawiam ludzi.
– No to jedź z nami, tam gdzie jedziemy, będzie ich sporo do zbawienia.

Manolo stał przy drzwiach i wyraźnie wkurzony wyszedł pierwszy i wszedł do samochodu. Otworzyłem drzwi. Stałem wryty. Na moim siedzeniu rezydował mały gargulec, z zielonkawą, gumistą, chropowatą skórą. Miał elfie owłosione uszy, i szpiczaste ząbki. Patrzył się przez chwile na mnie spięty pasem bezpieczeństwa, i popiskiwał słodko. – Dobra stary, złaź, to moje miejsce, usiądź sobie na oknie, albo z tyłu. – Mały gargulec popatrzył się na mnie, przechylając na boki głowę.

– No ruszaj się, mały.

Gargulec, odpiął pas małymi łapkami, i jak małe dziecko, na czworakach podreptał na krawędź siedzenia, a następnie naskoczył w stronę okna i opadł obok kierownicy. Usiadłem. Manolo jechał i patrzył na mnie lekceważącym wzrokiem.

– Z kim ty u cholery rozmawiałeś.

– Z nim. – Wskazałem na gargulca, który leżał na plecach i rozciągał się ziewając.

– Z popielniczką? Powiem raz. Mam cię już serdecznie dość.

Tylne drzwi zatrzasnęły się, i na środku tylnego siedzenia zasiadł ksiądz Olivier. Manolo patrzył się na mnie jeszcze chwilę, chyba powstrzymując się by mi nie zrobić trwałej krzywdy. Manolo zapatrzył się w kierownicę. Odetchnął. Podniósł głowę i zza niej usłyszał krzyk i unosząc

się koniec kija baseballowego. Manolo zdążył tylko powiększyć swoje źrenice i też krzyknąć, gdy przed nim szybę okrył pajęczyna pęknięć. Wyskoczyłem z wozu. Mały gargulec mocno przestraszony spadł z okna i się rozplakał. Chwyciłem go. Zaraz po mnie wyskoczył Manolo i Olivier. Stanęliśmy obok wozu zapatrzeni w młodego czarnego chłopaka, z uniesionym kijem baseballowym. Patrzył się na nas o a my na niego.

– Ej wy! Wyskakujcie z kasy i wszystkiego, co wartościowe.

Zaraz po jego słowach pomyślałem o moim wspaniałym roleksie.

– Nie ma mowy gnojku. – Odpowiedziałem głośno.

– Ach tak, a chcesz by moja pałka cię dotknęła? – Wskazał kij.

– A chcesz by dotknęła cię moja?!

Chłopak zamilkł i analizował, o co mi mogło chodzić. Wtedy wtrącił się Olivier.

– Odejdź stąd chłopcze albo dosięgnie cię sprawiedliwość i kara boska.

– O kurwa, pedofil!

– O kurwa, asfalt!

– Masz ostatnią szansę, aby odejść. – Wtrąciłem się by nie doszło do bójki rasistowskiej.

– Nie ma, kurde, mowy, najpierw oddacie mi, co macie.

– Miałeś swoją szansę chłopcze. – Olivier sięgnął pod kieckę, zrobił nieokiełznany ruch przeczący prawom fizyki i wyciągnął pistolet magnum 230 volt z cholernie długą lufą.

– Co jest grane! – Krzyknął chłopak. Zerkając na nas. Olivier przymknął jedno oko, celując.

– Ej Benito, co robimy? – Wyszeptał do mnie Manolo.

– Czyń swoją powinność, rób zdjęcia.

– Zwariowałeś, kompletnie ci odbiło!

– Ej ludzie no, co jest z wami?!

Coś mnie wytrąciło z równowagi. Zobaczyłem czarny samochód wjeżdżający pomiędzy drzewa. Straciłem na chwilę kontakt z otaczającą mnie rzeczywistością i skupiłem całą swoją uwagę na osobie wychodzącej z samochodu. To był Pan Kameleon.

– O rany on tu jest!

– Kto?

– Właż do samochodu. Odpalaj. Ruchy!

– O co ci człowieku chodzi?

– Pamiętasz słowa szefa? Masz się mnie słuchać. Właż do cholernego samochodu.

Mały gargulec wyrwał mi się z ręki, przebiegł po mojej koszuli i usiadł mi na ramieniu.

– Ej Olivier, zostaw chłopaka, mamy kłopoty. – Olivier nie zareagował. – Wskakuj do wozu!

Ksiądz popatrzył się na mnie kątem, nie spuszczać wzroku z celu. Kameleon niewątpliwie szedł w moją stronę. Przekręcał na boki tą swoją gadzią głową, i obliżywał długą, jęzorem. Olivier raczył wsiąść. Chłopak zaczął uciekać. Wszedłem do samochodu.

– Jedź do cholery głupcze, bo zaraz cholerny Roland Pierre Dolone zrobi z nas swój obiad.

– Kompletnie ci już odbija. To nie on!

– Jedź!!!

– Nie mogę, nic nie widzę, przez tą jebaną szybę.

– Pozwolicie państwo, że rozwiążę wasz problem. – Oli przerwał naszą kłótnię. Uniósł broń i strzelił w szybę. Pocisk przeszedł dokładnie centymetr obok nosa Manola. To było pouczenie, ze strony Oliviera. Kierowca osłonił się rękami krzycząc, gdy odłamki szkła rozpierzchnęły się we wszystkie strony wszechświata. Manolo odwrócił się.

– Co ty do jasnej cholery wyprawiasz, schowaj to! Chcesz nas wszystkich pozabijać?!

– Zamknij mordę, podjedź do tego samochodu tam. – Powiedział Olivier, co w stu procentach potwierdziło mnie w moich domysłach, odnośnie nienawiści do Manola.

– Po jasną cholere? Wszystko, co tu się dzieje, ja za to nie odpowiadam, i mam to w dupie!

– To miej i jedź. Podjedź do tego czarnego samochodu. – Obejrzałem się do tyłu. Kameleon zbliżał się a za nim szło dwóch ochroniarzy w czarnych garniturkach. Manolo zaczął jechać.

– Kto to jest, tamci? – Spytał ksiądz.

– Gzesznicy, fajfusy, śledzą mnie od rana i nie mam cholernej ochoty dowiedzieć się, jakie

mają zamiary. – Olivier wycelował i przestrzelił im oponę. – Teraz Manolo, gaz do dechy! – Krzyknął Olivier. Manolo nacisnął pedał, zarzuciło nami do tyłu i do przodu. Zapiąłem pośpiesznie pas. Zaczęliśmy jechać zostawiając wszystkich w tyle.

- Gdzie teraz panie Benito? – Spytał się mnie grzecznie fotograf.
- Do najbliższego hotelu, musimy się ulokować, i przeczekać to wszystko.
- Dlaczego omijasz szefa zabiej restauracji?
- Chce mi zrobić krzywdę, człowiek, który tak wygląda na pewno nie ma dobrych zamiarów.
- Właściwie nie wygląda on na złego człowieka.
- Co?! A może jesteś jego współnikiem, i razem chcecie mi zrobić nie wiadomo co?
- Przestań Benito, popadasz w paranoję, odstaw kwas to, ci dobrze robi.
- Nie gadaj, tylko jedź. Znasz to miasto, znajdź jakiś tani hotelik na kilka godzin.

Mały gargulec zasnął mi na kolanach. Manolo jechał ostrożnie, wyraźnie nie w sosie. Ksiądz natomiast czyhał w gotowości. Teraz byłem już pewien, że to, co mówił o swojej rodzinie, było prawdą, i należy być na niego w pełni ostrożny.

Co chwilę zaglądałem w boczne lusterko, sprawdzając, czy nikt nas nie śledzi. Lecz moje przypuszczenia nie były bezpodstawne, bądź, zaraz po tym dostrzegłem jadący za nami wóz. Ale nie był to samochód Pana Rolanda Kameleona. Chociaż znałem rejestrację.

- Mamy ogon. – Powiedziałem.
 - Zaczyna się.
 - Zamknij się i sam zobacz do tyłu i przypomnij mi skąd znamy ten samochód?
- Manolo lekko zwolnił i odwrócił się do tyłu, pastor też się odwrócił.
- I co? – Manolo popatrzył się na mnie.
 - To ten sam samochód w z parkingu, z tymi trzema czarnymi spaślakami.

Poddałem się zadumie, zastanawiając się, czego oni mogą chcieć. Czyżby nadal polowali na mój wspaniały zegarek? Kto to wie?

- Zrób kółko wokół budynku, zobaczymy, co robią.
- Tak jest!

Manolo skręcił przy najbliższym skrzyżowaniu. Minał światła, dojechał do następnego skrzyżowania i ponownie skręcił w prawo. Tak jak się domyślałem, jechali za nami.

- Co robimy? – Spytał kierowca. – Czego oni chcą?
- Pewnie mojego roleksa. Musimy ich jakoś zgubić i dojechać bezpiecznie, do hotelu.

Trzech grubasów zastanawiało się tymczasem, kim jesteśmy, i na pewno zastanawiali się, czy możemy zrobić im krzywdę. Wychylony przez okno pastor utwierdził ich w przekonaniu, że jesteśmy ludźmi, z którymi nie warto zaczynać, jeśli nie chce się skończyć. Olivier wycelował w ich oponę i trafił. Samochód czarnoskórych zawirował, wpadł w poślizg i wyrznął w kubeł na chodniku. Manolo zaczął obracać kierownicą, zdradzając swoje umiejętności kierowcy. Skręcił w jedną z uliczek i pomknął nią. Po kilku chwilach byliśmy na parkingu najbliższego hotelu. Manolo, cały spocony zatrzymał się na chodniku. Wysiedliśmy. Mały gargulec przebudził się. Wziąłem go i położyłem na swojej głowie. Wtulił mi się we włosy i zaczął drzemać dalej.

- Tak mój wspaniały fotografie, i celnie strzelający w opony pastorze. Udało się nam.
- Cała nasza trójka weszła do hotelu. Podeszliśmy do portierni. Manolo poprosił o klucz.
- Czy wy będziecie prowadzić jakieś ekscesy erotyczne?
 - A wyglądamy na takich? – Przerwałem.
 - No, trochę, zważywszy na tego małego gargulca, na pana głowie.

Pastor i Manolo zaglądali z zaciekawieniem na moją głowę, ale wyraźniej nic na niej nie dostrzegli. Podarowali portierowi tylko zdziwione spojrzenie.

Ruszyliśmy schodami, i zaraz na pierwszym piętrze weszliśmy do pokoju numer dwadzieścia trzy. Rozejrzałem się po czystym wewnątrz dość obszernego pokoju. Podeszedłem do stołu, położyłem na niej swoją maszynę i włączyłem telewizor. Położyłem gargulca na fotelu przed nim a ja sam ostrożnie podeszedłem do okna. Spojrzałem w dół na ulicę. Chcąc czy nie, zobaczyłem śledzący nas wcześniej wóz. Trzej murzyni siedzieli w środku, obserwowali lornetkami, żrąc trujące śmieci z Fast foodu. Odchyliłem głowę do tyłu i przymknąłem oczy, myśląc o tym, że tak naprawdę,

wszyscy są niepoczytalni.

Rozdział 3. MYTHOLOGICA

Olivier zasiadł na fotelu, otworzył jedną z butelek meksykańskiej nalewki opiumowej i zaczął saczyć oglądając śnieg w telewizorze. Manolo poszedł po coś do jedzenia. Chwała mu za to.

Ktoś natrętny zapukurwał we drzwi. Otworzyłem tylko, dlatego, że nie robiłem nic innego. Momentalnie tego pożałowałem. Przede mną wyrosła mała wywłoka, opalona w solarium z cieniutkim wąsikiem. Uśmiechał się głupio dając wrażenie, że zapukanie w moje drzwi było oznaką największego jego osiągnięcia życiowego.

- Przepraszam pana, jestem aktorem – rzekł infantylnie.
- Czego pan chce?
- Ja tak z ciekawości, dla zabicia czasu, bo to jest bardzo luksusowy hotel.
- No na pewno.
- I chciałem wiedzieć, co pan tu robi, tak z ciekawości, wie pan?
- Nie rozumiem.
- Bo wydaje mi się, że nie jest pan kimś znanym. Wygrał pan jakiś konkurs, że jest pan tutaj?
- Tak. Wygrałem konkurs piękności. Żegnam.

Zamknąłem drzwi. Natrętny mol. Usiadłem przy maszynie i zastanawiałem się, o czym napisać drugą kolumnę, którą miałem oddać za dwa dni. To właśnie było straszne i piękne zarazem w tej pracy. Miało się zupełną wolność, a praca polegała na tym, że trzeba było napisać tekst i zanieść go do publikacji, i czekać. Trzy razy w tygodniu. Poniedziałek, środa, piątek. To aż nazbyt proste. Grunt, że za tym kryją się wielkie pieniądze.

Miałem na tekst oczywiście sporo pomysłów, ale jednocześnie musi być to rzecz wyjątkowa. Rozmyślając nad konstruktywnością pisanego tekstu, usłyszałem skrobanie. Spojrzałem naokoło siebie. Wstałem z krzesła, i zacząłem krążyć po pokoju, idąc wzdłuż ściany. Drapanie stawało się coraz głośniejsze. Dochodziłem do ściany, która była jednocześnie ścianą pokrewną pokojowi przylegającego do naszego. Przyłożyłem ucho do ściany i nasłuchiwałem.

Czyżby termity?

- Ktoś nas podsłuchuje. – Olivier wstał i spojrzał na mnie, z grobową miną.
- Jesteś tego pewien?
- Mam zrobić dziurę w ścianie by cię przekonać?
- Niekoniecznie, zważywszy na to, że mamy coś takiego jak drzwi. Zaraz, chyba coś znalazłem!

Odsunąłem wersalkę od ściany i zobaczyłem, że obok kontaktu jest jakaś siateczka. Zapukałem w nią. Pod nią na podłodze było pełno pyłu ze świeżego wywiercenia dziury w ścianie. Przeszkadzał mi mój roleks, więc go zdjąłem i położyłem na szafce obok. Złapałem tą siatkę ostrożnie. Do niej przymocowane były jakieś kabelki. Pociągnąłem je raptownie. Zza ściany dobiegł krzyk. Poczułem, że wygrałem tą walkę. Do pokoju wszedł Manolo z żarciem.

- Co wy tam do jasnej cholery robicie?!
- Znaleźliśmy podsłuch. – Powiedziałem i powoli odsuwałem się od ściany. – Znaczy, miałem nadzieję, że to podsłuch, jestem niemal nawet tego pewny.
- Do kurwy! Pozabijam was wszystkich i gówno mi robią, bo to będzie zbrodnia w afekcie! To była kablówka!

– Niesamowita jest twoja sztuka opanowania, potrafisz krzyczeć i jednocześnie trzymać tace wypełnioną jedzeniem, i to jedną ręką.

- Benito, kurwa, bo się pogniewamy.
 - To jak myślisz, dlaczego tamci trzej czarni nas śledzą.
 - Masz zwidy!
 - To wyjrzyj przez okno i spójrz czyj stoi tam samochód.
- Manolo odstawił tackę na stół, podszedł posłusznie do okna i zobaczył znajomy samochód.
- Zbieg okoliczności.
 - Tak, podobnie jak to, że siedzi tam trzech czarnych spaślaków.

Manolo spojrzał raz jeszcze i dostrzegł szamotaninę w środku.

- Więc panie wszytkowiedzący dziennikarzu, co masz zamiar z tym fantem zrobić?
- Może zejść na dół i spytam się, co się stało z popromiennym snem?

Nim Manolo zdążył cokolwiek zrobić, poczułem jak coś mnie łaskocze. Spojrzałem przez ramię na plecy, bo byłem przekonany, że coś mi po nich łązi. Ale nie. Cholerstwo zaatakowało z drugiej strony. Przebiegło wzdłuż mojego ciała łaskocząc je, ale nie mogłem go wyłapać wzrokiem. Za każdym razem widziałem tylko niemrawy jego skrawek. Spojrzałem na stół i momentalnie domyśliłem się, co jest grane. Niewidzialny i upierdliwy gargulec stawał się coraz bardziej niewidzialny i upierdliwy.

- Co ty do jasnej cholery wyprawiasz? – Zapytał wyraźnie rozdrażniony Manolo.
- Nic. Śnieg wpadł mi za kołnierz.
- Śnieg? W pokoju? W środku lata?
- Przestań się czepiać, co? Próbujesz na mnie odreagować, bo miałeś ciężkie dzieciństwo?!

Zarzucił tylko swym nienawistnym spojrzeniem, które zdążyłem już bardzo dobrze poznać. Poprawił wiecznie spadające mu z nosa okulary. A moje oczy tymczasem wolniutko zjeżdżały z jego paskudnej postaci, i wędrowało za okno na czterech mężczyzn ubranych w mnisie habity, niczym żywcem wyjęci z chóru gregoriańskiego.

Podszedłem bliżej i wychyliłem się lekko przez okno. Nim nędzny fotograf zdążył cokolwiek z siebie wydusić, złapałem go za kark i niemal wałnąłem jego mordą o szybę. Pokazałem palcem i spytałem czy widzi to samo, co ja. Widział czterech mnichów. Nie żeby nas to specjalnie interesowało, kim byli, ale trochę dziwnie spotkać mnichów na parkingu. W gruncie rzeczy znaleźliśmy na jednej ulicy bardziej obłąkanych ludzi ode mnie. A już myślałem, że jestem jedynym wyrzutkiem współczesnego świata. Olivier tymczasem zerwał się, zerknął za okno, zrobił nieokreślony ruch ręką jakby w zdenerwowaniu. Patrzyliśmy się na niego. Zrobił minę jakby chciał splunąć zjełczałą flegmą.

- Znaleźli mnie. Musimy stąd iść.
- Kto cię znalazł. – Spytałem.
- Oni, tamci czterech.
- Kim oni są?!
- Musimy wiać.
- Spokojnie, chyba nie wiedzą, że tu jesteśmy, nie?
- Może zadzwonić po gliny? – Wtrącił Manolo.
- Zastanawiam się czy to niebyły taki zły pomysł, a ty jak myślisz Olivier?
- Myślę, że musimy uciekać.
- W takim razie powiedz mi tylko, kto z was jest tym złym, oni czy ty? Dlaczego cię śledzą?
- Oni są źli.
- Skąd ta pewność. Mogłeś popaść w skrajną psychozę maniacką i zatracić całkowicie poczucie dobra i zła.
- Bo to Phallus Dei.

Zapadła zenująca cisza zdradzająca wszystkie możliwe uczucia od strachu, poprzez wstyd aż po śmiech. Pierwszym, który zareagował był pan Manolo: „zdrowy rozsądek, przecinek, zbyt wcześnie wysunięte wnioski, przecinek, które mogą dojść do katastrofy.” Nim ktokolwiek zdołał cokolwiek zrobić i wymyślić, wierni obrońcy prawa i sprawiedliwości już byli w drodze. Słyszałem wyraźnie jak nadjeżdżali. Podniosłem małego gargulca i wsadziłem go w kieszeń na piersi. Chwyciłem maszynę i inne moje śmieci, nawet ten wyciągnięty ze ściany system podsłuchowy. I zacząłem zbiegać po schodach, gnając ku wyjściu. Za mną słyszałem niemiłosiernie stąpania Oliviera w jego kowbojskich butach i zaraz za nim trzymającego się kurczowo poręczy Manolo. Wymknęliśmy się, o mało nie przewracając boja hotelowego, który przewrócił na siebie tackę z wiktuałami.

Udało się nam wybiec na powierzchnię. W tym momencie uświadomiliśmy sobie, że wpadliśmy. Zza zaułka, z drugiej strony ulicy, szli gęsiego posłańcy zboczonej, dosłownie, sekty osławionej na cały świat o nazwie Phallus Dei, (co jakby, kto nie wiedział, znaczy Penis Boga) a ja

pierwszy raz o nich słyszałem. Widocznie zauważyli już swój cel, bo spowolnili kroku i patrzyli w naszą stronę. Mimo dnia, nie mogliśmy dostrzec ich twarzy. Zupełnie jakby mrok skrywał się pod lnianym habitem.

Drugim problemem było, to, że trzech grubych czarnuchów, szamotało się, próbując odpalić silnik, co dało mi do zrozumienia, że już nas zauważyli. Za cholerę jedynie nie mogłem rozszyfrować, czego trzy razy sto pięćdziesiąt kilo, w ciasnym dwudrzwiowym składaku, zadawało sobie tyle trudu, by nas śledzić.

Jedyne, co to musieliśmy się dostać do swojego samochodu. Ale naprawdę nie wiem, dlaczego my, zamiast się ruszyć, wsłuchiwaaliśmy się w syreny policyjne. Coraz głośniejsze. Musiałem zacząć trzeźwo myśleć, bo Olivier i Manolo na pewno wpędzą mnie w jakieś kłopoty.

Najgorzej, że oprócz tego całego cholernego zamieszania, pojawiło się stado samurajów, wyskakujących z pobliskich bloków. Wskoczyłem na swój samochód, omijając niezbyt umiejętnie zmotoryzowaną babcię na wózku inwalidzkim. Przeturlałem się przez dach i maskę i brawurowo upadłem twarzą na asfalt, zahaczając rękawem o psie gówno. Przeskoczyłem wóz i wszedłem do niego poprzez siedzenie dla pasażera. Dopiero w środku przeczłapałem się na fotel kierowcy. Włożyłem kluczyki do stacyjki i zaśmiałem się, myśląc, że nikt się pewnie nie spodziewał takiego obrotu sprawy. Poza tym zmyliłem tych hipokrytów. W ogóle to oszukałem całą cholerną ludzkość.

Zaraz za mną wsiadła reszta życiowych niedojdów. Nacisnąłem gaz, i ruszyliśmy z zawrotną prędkością do tyłu przetrącając stadko okładających nasz piękny samochód mieczami samurajów. Ale gdy zmieniłem bieg, przestali. Ruszyliśmy przed siebie. W lusterku bocznym zauważyłem, że zaczyna z niewiadomych dla mnie powodów, popierdalać za nami policja. Zaraz za nimi, jechał rozklekotany wóz trojga czarnuchów, który minął samochód policji i wyrównał jazdę z naszym.

Jeden z czarnych odsunął okno i pokazuje na nadgarstek. Nie potrafię rozgryźć, o co człowiekowi chodzi. Przyśpieszam. Syrena policyjna zaczyna mi działać na nerwy. Jadą za nami. Usłyszałem strzał. Odwróciłem się. A jednak. Gliniarze zaczęli strzelać. Wredne sukinsyny, wybiły mi tylną szybę. Zrobiłem nieokiełznany manewr kierownicą, i staranowałem bramę ogrodu zoologicznego. Specjalnie wjechałem się w krzaki. Tak by się zakamuflować jak w wietnamskiej dżungli.

Wysiedliśmy. Mały gargulec wczłapał mi na głowę i obserwował wraz ze mną, co się dzieje. Wjechały bambusy. Wpieprzyli się w klatkę z żyrafami, co było w porównaniu do moich krzaków, istnie debilne. Tępi gliniarze zamiast zwolnić walnęli od tyłu jeszcze ten ich samochód. Żyrafa spłoszona wybiegła ze swego obozowiska, rozdeptując samochody. Te cholerne dranie miały naprawdę dużo szczęścia.

Ja, Manolo, Olivier i gargulec wspólnie postanowiliśmy postawić pierwszy desperacki krok. Wyjść z ukrycia. Ale nim tylko wychyliłem łeb, od razu schowałem go z powrotem. Krzyknąłem do Manolo by też się schował i go pociągnąłem.

– Co jest świrze?

– Nie widziałeś potwora?

– Co?

– Wyrzyj i powiedz, co widzisz?

Manolo wyrżał. Gliniarze zaczęli się zbierać. Czarnuchy też. Za nimi biegały zebry.

– Co mam do cholery widzieć?

– Nie widzisz ich? Przed chwilą ten pół – byk, pół – człowiek wcelowywał we mnie z harpuna.

– Powinieneś się leczyć. Tu nic nie ma oprócz zwierząt. Jesteśmy w jebanym zoo!

– Jeszcze będziesz mówił jak cię będzie ścigać ta suka z węzowymi włosami. – Spojrzałem w dal i nerwowo rozglądałem się, niemal słysząc jej syk – Ona, gdzieś tu jest.

Manolo wstał, nie wiem, po jaką cholerę. Wyszedł z samochodu i odszedł gdzieś. Olivier i mały zostali przy mnie. Obserwowałem ich. Przez chwilę czułem się jak szpieg. Jak z tajnych, nienakreślonych jeszcze części Jamesa Bonda, które są zbyt ekstremalne i niesamowite by można było o nich mówić. Mój wierny towarzysz z koloratką, nieogolony ksiądz golnął sobie i dał też mi. Przez rozwaloną bramę, zaczęli przechodzić Phallus Dei. Wyglądali jak skrzyżowanie chorału

gregoriańskiego z ku– klux– klanem. Olivier wyciągnął lornetkę i zaczął obserwować ich powolne ruchy. Wyciągnął jakiś dziwny przyrząd i wycelował w któregoś z nich.

– Oliver, co ty robisz, odbiło ci?

Zaczął coś przeżuwać, spoglądając ukradkiem na dwa zderzone samochody, z których nikt nie wychodził. Uciszył mnie tylko jak małe dziecko, bym mu nie przeszkadzał. Zastanawiałem się tylko czy należałoby mu przeszkodzić. Coś zaczęło piszczeć. Rozglądałem się wokół próbując namierzyć dźwięk. Szczęk broni znowu nawrócił mnie na kierunek, w który mam teraz patrzeć. Ostro pierdolnęło, tak, że myślałem, że zaraz stanę się zupełnie trzeźwy. Co dziwniejsze usłyszałem skrzeczenie. Zerknąłem. Z jednego z mnichów coś wyleciało. Spojrzałem ponad siebie. O mało się nie zesrałem. Cały czarna, niemal spopieliała, z nietoperzami skrzydłami, szpetnym ryju, i chuj tam wie jeszcze, ilu słów musiałbym użyć, żeby opisać to szkaradztwo nade mną. Olivier cmoknął przeciągle, uniósł broń i wycelował. Namierzał. Wystrzelił. Pocisk przeszedł przez bebechy demona i rozprysły się na boki.

– Kim ty do jasnej cholery jesteś, Olivier.

– Księdzem, egzorcystą, łowcą strzyg i demonów. Mam świętą misję do wykonania.

Oliver zaczął się czołgać po ziemi jak rasowy żołnierz. Kiedy za sobą usłyszałem wściekły okrzyk samuraja. Fuksem ominąłem ciachnięcie mieczem. Cofnąłem się na czworakach do tyłu. Olivier zagwizdał w moim kierunku. Uchyliłem się i dostrzegłem, że człowiek–byk rzuca we mnie harpunem. Cudem uszedłem z życiem. Oliver zagwizdał i rzucił mi rewolwer. Za późno się zorientowałem. Dostałem nim w mordę, a przy zderzeniu, wystrzelił i przestrzelił samurajowi kolano. Złapał się za nie bidulek i opadł na ziemię.

Biegący na mnie człowiek z ptasim łbem wyrznął w samuraja. Nie wiem czy to było planowane. Strzeliłem w jego łeb, który próbował zadziobać moją nogę. Z jego łba posypały się pióra. Wstałem na nogi. Znow usłyszałem pipczenie. Rozejrzałem się wokół. Było całkiem blisko mnie, nie mogłem go namierzyć. Wtedy ujrzałem najpiękniejszy obraz na świecie. Manolo odpalający wóz. Wskoczyłem do niego. Wcisnął gaz do dechy i pieprząc wszystkich zaczęliśmy jechać przed siebie. I wszystko by poszło jak z płatka, gdyby temu durniowi nie obsunęły się okulary na sznurkach. Wpadliśmy w poślizg potracając jakąś staruchę o kulach, chociaż równie dobrze mógł to być jeden z samurajów. Jej kule pofrunęły w niebo i spadły na głowy kilku zmierzających do nas samurajów. Przez ten obraz przeleciały kule wystrzelone z pistoletu Oliviera, na oślep. Manolo zaczął jechać dalej. Bez okularów. Zatrzymaliśmy się. A raczej zatrzymała nas lampa, która zdenerwowała silnik, który zaczął wrzeć ze złości. Wysiedliśmy.

Jeden z czarnuchów złapał mnie za przegub nie wiedząc dokładnie, co chciał z nim zrobić. Nie mogłem pojąć jak ten spaślak wydostał się z samochodu i tak szybko podbiegł do mnie.

– Zdejmuj zegarek! – Krzyknął grubas.

– Ale zaraz, to mój zegarek ty złodzieju, to rozbój, przynajmniej, kiedy policja jest potrzebna, jest akurat na miejscu. – Grubas obejrzał się za siebie. Gliniarze zaczęli biec w ich stronę.

– To nasz zegarek!

– Jak to wasz?!

– Nasz! Ma w środku bombę! Miał wysadzić sklep jubilerski!

– Co?! Nie wiem stary czy to najmądrzejsze mówić to wszystko przy glinach.

– Ściągnij zegarek!

– Ale do końca nie wiem po co?!

– Mówię durniu, że jest tam bomba. Wybuchnie lada chwila!

Spojrzałem na zegarek z niedowierzaniem. Budzik znow się włączył. Zaczął dygotać. Wszyscy znieruchomieli, czekając na najgorsze. Oczywiście najgorsze nie przyszło, bo inaczej nie było tej książki, zresztą jak już zauważyliście jest ona pisana w czasie przeszłym.

Ściągnąłem zegarek. Drań zaczął się rozgrzewać i piszczeć tak niemiłosiernie, że myślałem, że mi słuch zaraz rozsadzi. Pieprzałem nim w stronę ściany. Był to pierwszy lepszy kierunek, który na szybko obrałem. Ściana wybuchła, z łoskotem rozrzucając cegły, które trafiały w najbliższych stojących samurajów i gliniarzy. No i w nas. Zza ściany zaczęły wybiegać kangury, konie trojańskie, kobiety z głowami krów, człowiek z końską dupą i inne takie. Bambusy uciekły i nigdy

więcej ich nie widzieliśmy. Nie wiem, co inni w tej sprawie myśleli, ale ja skinąłem na Manolo i Oliviera i szybko żeśmy się stamtąd ulotnili.

Odjechaliśmy w pokoju. Pierwszymi, którzy zaczęli za nami biec byli ci z sekty religijnej. Było ich trzech.

- Coś ty Olivier im zrobił brzydkiego, że tak nie ustępują ciębie? Są strasznie cięci na ciębie.
- Nie wiem.
- Akurat.
- Jedź i nie marudź.
- Coś mi się zdaje, że się z nimi jeszcze spotkamy.
- Niezbadane są wyroki boże. Zwolnij proszę.

Manolo zwolnił oglądając się za siebie. Olivier siedział dalej przodem, wyciągnął z kieszeni coś, co wsadził do ust i wyrzucił następnie za siebie. Dopiero Manolo wymówił magiczne słowo widząc zawleczkę w jego ustach "granat". Manolo nie czekając na dalszy ciąg zaczął popierdalać samochodem. Wstrząs lekko podrzucił samochód, i zrobiło się gorąco.

Pośród wszystkich możliwych wyjść, jakie mieliśmy wybraliśmy powrót do tego samego hotelu. Zamknęliśmy pokój i rozsiedliśmy się na powrót. W telewizji leciał jakiś wiktoriański western w czerni i bieli. Clint Eastwood walczył z dinozaurami.

– Musimy się teraz zastanowić i to dobrze, co dalej robić? – Rzuciłem do wszystkich, jednak jedyną osobą, która zaczęła udzielać mi rzetelnej odpowiedzi, był Manolo.

– Mamy też kłopoty, powinniśmy najpierw zadzwonić do Pauvaert'a, wziąć kolejną robotę, i czym prędzej stąd ewakuować.

- A więc dzwoń.
- Ty z nim pogadaj, niech usłyszysz zdrowo mówiącego pracownika.

Manolo wykręcił numer i podał mi słuchawkę. Przyłożyłem ją do ucha i czekałem na połączenie. Sygnał. Długi sygnał. Niekończący się. Wykrzyknął oschły głos, który rozpoznałbym wszędzie.

– Czego, kurwa?!

– Tu Benito! Skończyłem artykuł o psychodelicznych zabach. Mogę go podać na tacy za jakieś trzy godziny.

– Dobra. Będę jeszcze. Tylko bym nie czekał na darmo! Jeszcze jedno. Ktoś wypytuje o ciębie

- Kto? Samurajowie?
- Przestań dowcipkować.
- Do czego?
- Do chuja psiego. Jest tu ktoś, kto uważa się za twojego brata.
- Ale Ivan, dobrze wiesz, że ja nie mam brata.
- Mówi, że jest nieślubnym twoim bratem, którego rodzice się wyrzekli.
- Dobra, ale odpowiedz mi na jedno pytanie.
- Wal.
- Co się stało z popromiennym snem?

Ivan rozłączył się. Rzuciłem do wszystkich, że jedziemy wywołać zdjęcia i jedziemy do wydawnictwa.

Rozdział 4. CHOLERNY BÓL ZĘBA

Trzy kwadranse później przyszedł Manolo, a pięć minut później jechaliśmy umiarkowanie szybko dążąc do miejsca przeznaczenia. Naszego ukochanego szefunia Ivana. Z radia dowiedziałem się, co się dalej stało po naszym niefortunnym wypadzie w zoo. Otóż, kilku samurajów uciekło, z tego wynikało i zatarli za sobą ślady, bo o nich nikt nic nie mówił. Trzech czarnuchów stoczyło się z pagórka, ale zostali pobici i zatrzymani przez drzewa a potem dopiero pochwyceni przez stróżów prawa. Kilka mitologicznych stworów pouciekało. Najprawdopodobniej podążają za nami, bądź też szukają popromiennego snu. Policja nas nie ścigała, być może nawet o nas nie wiedziała. Kto wie? Tajemnicza organizacja Phallus Dei miała immunitet, i została puszczona wolno. Miałem tylko

nadzieję, że ta opłacana przez rząd organizacja nie będzie ścigać nas. Przez cały ten czas zastanawiało mnie tylko gdzie jest ten mały gargulec.

Dostaliśmy z powrotem do tego cholernego wydawnictwa, a ja się zastanawiałem, od kiedy mamy basen z aligatorami na samym środku holu. Od razu nasunęła mi się myśl, że to okrutny pan Kameleon, bo któż by inny mógł przysłać gady, tylko on, by mnie szpiegować. Ale nie mogę być tego pewny na sto procent, bo może się to jednak okazać jakimś parszywym narodowym psem, znaczy, spiskiem.

Zobaczyłem konia trojańskiego, który chował się za ścianą węży i celował do mnie z łuku. Nie zdążyłem nic powiedzieć ani skinąć na kogoś, i ten wstrętny typ wystrzelił do mnie z łuku i trafił prosto w ósemkę. Złapałem się za mordę jakbym dostał paraliżu. Chociaż jest to po części niemożliwe, bo paraliż nie boli. Ale jednak ból się pokazał a za nim słowa:

– Co ty do kurwy nędzy znowu odpierdalasz?

– Ząb mnie napie ... Auu! – Skrzywiłem się

– Może powinniśmy wykonać egzekucję?

Koń trojański uciekł zostawiając mnie konającego. Winda zawiozła nas na sam szczyt. Gdy tylko weszliśmy do biura, rzuciło mi się w oczy coś, czego żaden z was nie chciałby zobaczyć. W tym momencie na to coś puściłem pawia.

– Widzę Benito, że czujesz się świetnie. – Powiedział w oddali spocony Ivan.

– To ból zęba, pieprzony koń trojański ugodził mnie w ząb, będący moją piętą achillesową.

– Ciesz się, że nie musisz przerabiać dwunastu prac Asteriksa.

– Tak, to prawda. A więc, może powie mi pan, w czym problem. – Spytałem zerkając cały czas na powykręcanego mutantą, by dać mu do zrozumienia, o co mi chodzi.

Ivan wskazał palcem na powykręcanego, z garbem, trądem, zezem, oczopląsem, dalece posuniętą kostropatością karła o przekrzywionej mordzie wyglądającej jak najlepszy obraz Picassa. No i znów obrzygałem to coś paskudnego, gdy tylko za długo się temu przyglądałem. Wycharczałem, ze ściekającymi wymiocinami z ust, niezbyt zawile pytanie.

– Co to do kurwy przenajświętszej jest?

– Trudno mi o tym mówić.

– Mów.

– To jest pan Benito Velasquez. – I dodał – Junior. Twój brat.

Monstrum poczłapało do mnie chwiejąc się na boki. Wyglądał jak z innego wieku, ciemnowiecza, czy czegoś podobnego. Quasimodo w porównaniu z nim był prawdziwym przystojniakiem.

– Czy jesteś moim bratem? – Spytał plując i sepleniąc.

– Niestety nie. Jestem Baronem narkotykowym. Nazywam się Johnny Depp.

– Oberonem?

Mówiłem. Ciemniak. Stałem i patrzyłem na tą pokrakę z opóźnieniem już nie mózgowym, ale opóźnieniem kompletnym wszystkim. Zastanowiłem się i nagle naszła mnie myśl. Skąd u licha wzięli się samurajowie? Możliwe, że to Pan Pierre Dolone wysłał swych zabójców na nas.

– Dobra Benito. Czekam na tekst – spojrzał na mnie – i zdjęcia – tym razem spojrzał na Manola. Obydwoje wyciągnęliśmy z toreb na ramionach po kopercie i podaliśmy mu. Patrzył na nas w ogromnym skupieniu, nie odrywając wzroku. Wyciągnął zawartości kopert i zaczął wszystko przeglądać. Zaczął przeglądać tekst, przeczytał kawałek na samym początku i przeleciał wzrokiem po pozostałych. Pokiwał głową i zaczął oglądać zdjęcia. W skupieniu jedno za drugim.

– Cholernie dobre zdjęcia – Powiedział dalej nie odrywając wzroku. Po chwili złożył wszystko w kupę i trzymał w dłoniach. – Bardzo dobra robota. Udało się wam zdążyć, o dziwo.

– Nawet nie wie szef, przez co musieliśmy przejść.

– Nie wątpię. Czekam na następny tekst. – Jego słowa wywierały na mnie dziwny wpływ, każde z nich kuło mnie w sam środek zęba.

– Nie dam rady. Idę do dentysty.

– A co z nim? – Wskazał na pokrakę, która spojrzała na niego trzema oczami.

– Zabieramy go, chodź Quasimodo. – Powiedziałem. – Może dostaniemy za niego dobrą

cenę.

– Cenę? – Spytał Ivan z lekkim uśmiechem, ale nie odpowiedziałem mu.

Zostawiliśmy Ivana z jego debilnym śmiechem a my wylądowaliśmy w windzie. Zjeżdżaliśmy na dół. Wydawało mi się, że droga nie ma końca. Bolała mnie głowa. Spać mi się chciało.

– Manolo, podjedź ze mną do dentysty, i jesteś wolny. Reszta zresztą też. Idźcie w cholerę.

Wychodząc z windy napatoczyłem się na dziwnie znajomego kurdupla. Gdy zniknął w windzie zaczął się uśmiechać. Wtedy go poznałem. Ten sam ciul pukał do moich drzwi hotelowych. Drzwi windy się zamknęły. Nie chciałem robić afery.

Wychodząc na chodnik i zmierzając do samochodu, Manolo przeklął. Spojrzałem na samochód, w którym wyraźnie ktoś był wewnątrz. Zastanawiałem się, czy to nie gargulec przypadkiem robi sobie brzydkie żarty. Ale gdy tylko Manolo otworzył drzwi, wypadł na chodnik jakiś koleś w krótkim rękawku i torbą na narzędzia. Spojrzał i krzyknął:

– Nie strzelajcie! Nie chciałem zrobić nic złego! Ja tylko chciałem naprawić wasz wóz.

– Tego gruchotowi nie można pomóc, to eksperyment genetyczny tak jak ten tutaj. Koleś spojrzał na Benito juniora, który próbował się słodko uśmiechnąć. Otworzył usta i zaczął krzyczeć ze strachu i obrzydzenia.

– Jeśli zaraz stąd nie odejdziesz, eksperyment zeżre twoje nogi. Zaraz sprawdzisz czy żartuję.

Koleś zaczął wstawać chwytając się dosłownie wszystkiego, co miał pod ręką, jednocześnie nie zdejmował wzroku z Juniora, chcąc go mieć pewnie na oku, by nic mu nie zrobił. Niemilosierpie krzycząc na jego widok, zaczął uciekać. Gdy był blisko mnie, kopnąłem go lekko w nogę, podskoczył do góry i zaczął uciekać, krzycząc. Gdy tylko wsiedliśmy do samochodu i już odpalaliśmy, podszedł do nas grubas w garniturze.

– Ej! – Krzyknął do mnie, dzisiaj coś wszyscy krzyczą. – Ty jesteś Benito Velasquez?

– Nie, Elizabeth Taylor. Śpieszę się do dentysty.

– Chodzi o twój cholerny ostatni artykuł. Uznaje, że za dużo wiesz. Ale ja nie jestem głupi. Umieć czytać między wierszami. Jestem szefem mafii, więc, kurwa nie zadzieraj ze mną. Jestem niemal pewien, że cię znam, a ty ukrywasz się pod pseudonimem. Lepiej dla ciebie byś oddał mi po dobroci wszystkie tajne informacje dotyczące budowy sąd kosmicznych i tajnej bazy wojskowej Marsjan. To nie jest prośba!

– Manolo – powiedziałem – gaz do dechy. Już! – Manolo zaczął pędzić zostawiając porypa w tyle. Byłem naprawdę zszokowany tym zajściem. Żeby jakiś pojeb tak zinterpretował mój artykuł o kluskach śląskich. Jak to można pomylić z sondami kosmicznymi. Już jestem w kropce i nie wiem, czy to ja byłem wtedy na kwasie, czy oni, jak to czytali.

Był to znak, że albo trzeba coś wziąć albo się przespać całą wieczność. Wtedy z zamyślenia wyrwał mnie głos ohydnej maskary, która przechyliła się przez siedzenia i zaczęła opluwać przednią szybę. Powiedziałem grzecznie.

– Wypierdalaj do tyłu pojebie, i nie pluj, tylko mów po ludzku.

– Panie, ja tak naprawdę – siorbnięcie – to nie jestem pana przyrodnim – przeciągle siorbnięcie – bratem. Właściwie to się nawet – krótkie siorbnięcie – nie znamy. Chodzi mi o to, że jestem – podwójne siorbnięcie – pana wielkim fanem, i pewnie, jako jedyny rozumiem – siorbnięcie – pana teksty. Jest w nich zawartych wiele cennych przesłań, a także – flegmatyczne siorbnięcie – ważnych informacji, które dotyczą także mnie.

– Na miłość boską, ja chyba kurwa śnie, następny pojeb. Czy wam coś odpierdala wszystkim ostatnio, czy naprawdę poprzez ćpanie dostaje jakichś zdolności paranormalnych. A może moje pisarstwo stało się tak uniwersalne, że przemawia do wszystkich i każdy czytelnik odkrywa w nich cząstkę samego siebie? To wymaga nagrody Nobla. Co najmniej.

– Ja tam myślę, że tylko ułomy rozumieją twoje teksty.

– Nie gadaj, bo się spocisz i prowadź.

– A więc, doszedłem do wniosku – siorbnięcie – po ostatnim pana tekście, że nie tylko łączy nas wiele wspólnego – siorbnięcie z pluciem drobnymi kropelkami, – ale także znamy się, albo znaliśmy się kiedyś, za dawnych lat. – Siorbnięcie – To prawdziwy cud, że pana znalazłem.

– Manolo...Błagam cię, przyspiesz, bo mnie rozsadzi. Jak dojedziemy tam w przeciągu dziesięciu minut, nawet jestem skory zrobić ci laskę.

Manolo momentalnie zwolnił i jechał 20km/h. Odchyliłem głowę do tyłu, tak by widzieć sufit, ale kątem oka napotykałem mutanta. Zamknąłem oczy i czekałem w milczeniu. Ząb rwał i pulsował jak otępiały. Mały gargulec się przebudził i zaczął skakać po moim brzuchu jak na trampolinie.

– Przestań skakać mały, nie jestem w humorze do zabaw.

Mały gargulec skakał dalej. Chwyciłem go i ścisnąłem, a potem uderzyłem o kant drzwi. Jego głowa rozdarła się i odpadła. Uchyliłem okno i wyrzuciłem to, co miałem w dłoni, a następnie podniosłem głowę, i też ją wyrzuciłem. Nikt mi nic nie robi.

Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, Manolo zaparkował naprzeciw gabinetu dentystycznego. Uśmiechnąłem się, szczerząc zęby i wykrzywiając usta jak w pocałunku, ale ten odpowiedział tylko "ani mi się waż, ty chory złoczyńco". Wkurzały mnie u niego te pedalskie powiedzonka. Manolo nie potrafił kłąć jak mężczyzna. Cholera, nie potrafił kłąć też jak kobieta. Wysiadłem i chwiejnym krokiem wszedłem do gabinetu. Potem film mi się urwał i nie pamiętam już niczego.

Rozdział 5. CIENIE ŚWIATŁA.

Jak to mówią, kupa sama się nie toczy, chyba, że toczy ją żuk. Gdy tylko się pokazałem w drzwiach Ivan powitał mnie ciepło i serdecznie tak jak ma on już w zwyczaju.

– Gdzie ty się do kurwy nędzy podziewałeś przez cały dzień?! Jest dziesiąta, miałeś być o szóstej!

– Przepraszam szefie za mały poślizg czasowy, ale miałem poważny problem. Bowiem przyszedłbym wcześniej. Ostatnie kilka godziny były chyba najbardziej stresującymi chwilami w moim życiu. Więc może zacznę od początku, bo właściwie wszystko szło dobrze z samego rana. Wsiadłem do autobusu na godzinę przed pracą i zamierzałem jeszcze wskoczyć do księgarni by się pośmiać z nowości na rynku. Gdy tylko znalazłem się w autobusie, doznałem niemiłego uczucia, że ktoś mnie śledzi. Odwracałem się dyskretnie a tam o dziwo nikogo nie było, oczywiście poza innymi ludźmi śpieszącymi do księgarni by pośmiać się z nowości rynkowych. Gdy wyszedłem na ulicę, to uczucie powróciło ponownie ze zdwojoną siłą. Odwróciłem się i widzę je, cienie!

– Cienie?

– Mają tupet, prawda? I to w biały dzień. Zaczęły pędzić za mną w chwili, gdy zacząłem uciekać, do księgarni pozostało parę metrów, ale myśląc, że one wiedzą, dokąd zmierzam, nie chciałem robić z siebie łatwego celu, jakim byłbym w środku, skręciłem w uliczkę obok. Biegłem i biegłem, niemal na oślep, cały czas zmieniając kierunek, tak by trudniej było mnie śledzić. Pół godziny później zatrzymałem się i przyznałem, że nie tylko je zgubiłem, ale zgubiłem także sam siebie. Mieszkam już trochę w tym mieście, ale za diabła nie mogłem go rozgryźć, wszystkie uliczki prowadzą bezsensownie donikąd, tak jakby projektant sam do końca nie wiedział, co tworzy. Nie chcąc wracać tą samą drogą w obawie, że cienie kryją się tam gdzieś i już się na mnie czają jak rasowi gwałciciele o wpół do jedenastej wieczorem, szykujący pułapkę. Zacząłem iść okrężną drogą. Szedłem jakiś czas, aż trafiłem między zabytkowe budowle. Ponownie ktoś za mną szedł, ale nie byłem już pewien czy to dalej one, cienie. Obejrzałem się i kroczyła za mną stara pijaczka, która była święcie przekonana, że jestem jasnowidzem. Zaczęła się skarżyć na reumatyzm a ostatecznie skończyła na rzuceniu na mnie klątwy, za ostatni mój artykuł, w którym, według niej opisuje w szczegółach jej sztuki magiczne. Powiedziała także, że za przedostatni artykuł, w którym opowiadałam o jej życiu obarczyła mnie niewidzialnym i upierdliwym gargulcem, którego zabiłem w afekcie, i teraz nie tylko ona mnie ściga, ale demony, które spłodziły owego gargulca, i powiedziała, że kres tej historii będzie miał na cmentarzu.

Przerwałem na chwilę by wziąć głębszy oddech i zebrać ślinę potrzebną mi do swobodnego ocierania się językiem po podniebieniu i ponownie zacząłem mówić:

Uwierzyłem jej i spytałem się czy przypadkiem wie, „co się stało z popromiennym snem?” A ona na to, że wszystkie odpowiedzi są na cmentarzu. I powiedziała coś jeszcze, ale zagłuszył ją ryk

potężnych silników z latającego spodka unoszącego się nad nami. Tajemniczy promień porwał mnie w przestworza i znalazłem się w jakiejś kopule a wokół było pełno zgarbionych postaci, o skórze niczym węże i trąbach słonia między nogami. Wypytywali się o osobę, którą znam, o księdza Oliviera, który był raczej księciem westernu niż kimkolwiek innym. Gdy nie mogłem im pomóc, ogłuszyli mnie kijem i wyrzucili na ulicę. Lecąc w dół ulicy złapał mnie mój anioł stróż, który bezpiecznie poprowadził na chodnik. Idiota nie zauważył, że poprowadził mnie w sam środek obozowiska cieni, które za wszystkich stron rzuciły się na mnie jak sfora wściekłych psów. W ostatniej chwili wyrwałem się z ich macek, i wskoczyłem do autobusu, którego drzwi właśnie się zamykały. Nie wiedząc, która jest godzina, dotarłem tutaj właśnie przed chwilą.

Ivan siedział na swym kierowniczym fotelu i zastanawiał się pewnie, czy nie wezwać pogotowia psychiatrycznego. Postanowił odesłać mnie do domu. Nawet zamówił mi taksówkę pod urząd, bym nie wrócił do domu za dwa dni. I dobrze, bo ostatnio prześladowuje mnie za duża ilość męt, by beztrudno podróżować sobie przez miasto na własnych nogach.

Gdy zszedłem na dół, taksówka już na mnie czekała i bez przeszkód dojechałem do domu. Zamknąłem drzwi na dwa zamki, zasuwkę i łańcuch. Usiadłem przed telewizorem. Nic się nie działo, więc go włączyłem.

Miałem napisać artykuł o człowieku, który przeżył wypadek jakimkolwiek środkiem transportu i opisać go jego oczami. Nie znałem nikogo takiego, a jak tak, to temat był już przejrzały. Po za tym nie miałem ochoty przejeżdżać kogokolwiek samochodem, więc szukałem inspiracji w telewizji. Po chwili przełączania, uznałem, że najgorsze wypadki opisywane są w przygodach westernów dla kobiet, tych z trzema tysiącami odcinków. Wiecie, o co chodzi. Pół godziny później zaczął się mój zbawienny program. Leciał pod nazwą jakąś bzdurną typu "uważaj!" Czy czegoś podobnego. Pokazywali starego człowieka leżącego na łóżku szpitalnym, miał połamane ręce, zgniecione nogi, żebra, zdartą skórę, poparzone plecy, wstrząs mózgu, zdarty paznokieć i krwiaka na szyi. Opowiedzieli gdzie wypadek miał miejsce, co, gdzie, jak, z kim i w ogóle pierdoły, które nie wiadomo, komu były potrzebne. To, co mnie najbardziej interesowało, to jak ten człowiek zrobił sobie tak wiele kuku. Nawet nie przeprowadzili z nim wywiadu, możliwe, że już nie żył ani dalej go karmili i wpompowywali powietrze na siłę w płuca. Obejrzałem program do końca, pykając zdjęcia i robiąc notatki gdzie miało miejsce, i jak to mniej więcej wyglądało. Po skończonym programie wyciągnąłem maszynę i zacząłem pisać, poczynając od nagłówka. Leciało to tak:

„Jechałem właśnie do pracy, kiedy spadły mi okulary w wozie, i to był błąd, bo powinienem się zatrzymać. Kierownica wyrwała mi się z rąk i zawirowałem wokół jezdni uderzając w przejeżdżający autobus. Próbowałem wysiąść pośpiesznie z wozu by nie zostać przezeń zgnieciony. Upadając na ziemię, upadłem na lewą rękę, którą natychmiast złamałem. Przewróciłem się na bok, próbując wstać. Ludzie z autobusu pośpiesznie wyskakiwali, a mój samochód zaczął się palić. Jakiś idiota jadący pod prąd w ostatniej chwili zauważył, co się dzieje i potrącił mnie, z czego wpadłem na palący się samochód i moje plecy uległy dotkliwemu poparzeniu. W ostatniej chwili oderwałem się od blachy, by się do niej nie przykleić i opadłem na ziemię, zdzierając sobie skórę prawie całego boku o wystające zgniecione drzwi. Upadając, idiota w wozie, zaczął go wycofywać, przejeżdżając po jednej z moich nóg. Chcąc się wydostać, próbowałem się wyczołgać pośpiesznie, ale jedynie co, to zdarłem sobie paznokcie mojej prawej ręki. Uciekający ostatni ludzie z płonącego autobusu, nie zauważyli mnie i jeden z nich nadepnął mi gланem na prawą rękę, łamiąc ją przy tym. Próbowałem przewrócić się na bok, ale nie byłem w stanie przez ból żeber. Musiałem podczas upadku także połamać przynajmniej jedno z nich. Próbując wstać i przenieść się trochę dalej by nie zostać staranowanym, jakaś rozhisteryzowana krowa popchnęła mnie z taką siłą, że wyrzuciła tyłem głowy o asfalt, i potem dopiero przebudziłem się w szpitalu.”

Gdy skończyłem opadłem bezwładnie na wyrko i pozwoliłem odpocząć oczom. Przerwał mi chrobot dobiegający z ubikacji. Momentalnie się zerwałem, bo czegoś takiego nie należy lekceważyć, zwłaszcza, że dźwięki wydobywają się z kibla. Wszedłem i próbowałem zachowywać się cicho, próbując namierzyć, skąd dochodzą te niepokojące dźwięki. Zajrzałem pod wannę, słysząc coraz wyraźniej. Człapałem wzdłuż ściany aż do siatki wentylacyjnej. Obok niej były wywiercone dziurki, a na podłodze były opiłki. Uśmiechnąłem się przewlekłe pamiętając, że

widziałem coś takiego w hotelu i razem z Olivierem doszliśmy do wniosku, że ktoś nas podsłuchuje. Jednak, dlaczego akurat kibel. I najważniejsze pytanie, kto.

Usłyszałem skrobanie do drzwi wejściowych. Rozejrzałem się i wolno zacząłem podchodzić do nich. Zajrzałem przez judasza, odsłaniając plastikową zasłonkę, ale nic nie mogłem dostrzec. Wolno słysząc skrobanie, ściągnąłem łańcuch. Przekręciłem klucz w górnym zamku, potem w dolnym próbując być jednocześnie najcichszym człowiekiem świata. Poczułem nieznany mi dotąd opór w zamku. Gdy wszystko było już pootwierane, chwyciłem za zasuwę i jednym raptownym ruchem otworzyłem drzwi. Usłyszałem krzyk, i do przedpokoju wpadł kurdupel. Rozejrzałem się, próbując wzrokowo uchwycić jak najwięcej szczegółów, i rozszyfrowałem opór w zamku. Znajdowały się w nim dwa druciki. Drugim znajomym motywem była torba na narzędzia, a ostatnim człowiek, którego ostatnio znaleźliśmy przy moim samochodzie.

– Ach to pan – zagailem – czyżby naprawiał mi pan zamek.

Dupek wstał cały się trzęsąc i zasłaniając rękami.

– Ja tylko...

– Jesteś pieprzonym włamywaczem. Chciałeś się włamać, zabić mnie i zabrać telewizor!

– Nie, nie prawda, nie chciałem pana zabić. Przysięgam! Proszę mnie puścić a już mnie pan nigdy w życiu nie zobaczy. Obiecuję.

– Może powinienem donieść na pana na policję? Albo napisać artykuł?

– Nie proszę tego nie robić. Naprawdę to ostatni raz. Tylko nie artykuł!

– Następnym razem – mówiłem to wyciągając go za wszarz za drzwi – zabiję! – Po czym zamknąłem drzwi i na klucz i wróciłem do kibla. Schyliłem się próbując dostrzec coś przez dziurki, ale nic nie było widać. Czekałem na cokolwiek, by być pewnym, że to podsłuch. W którymś momencie przez jedną z dziurek zaczął wylać sztywny kabelek z małym mikrofonikiem szpiegowskim dążącym wzdłuż ściany. Gdy mikrofonik się zatrzymał, podeszedłem do niego i krzyknąłem z całej siły.

– Hej! Przestań za mną chodzić i mnie podsłuchiwać, bo wyrwę ci jaja przez gardło! – Wyobraziłem sobie głuchącego, zrzucającego słuchawki dupka. Chwyciłem za mikrofon, cofnąłem się o krok do tyłu by nabrać rozpędu i z całej siły z zamachu pociągnąłem za kabel. Coś uderzyło w ścianę, kabelek się oderwał. Wziąłem go na pamiątkę myśląc, że na coś mi się może kiedyś przydać i opuściłem klozet słysząc jęki za ścianą. Po drodze do pokoju, znów usłyszałem chrobot do drzwi. Nie patyczkując się z niczym otworzyłem je złapałem za ubranie, nie patrząc i zatrzaskując drzwi dopiero się zorientowałem, że mam przed sobą cyrkowego klauna, z pęczkiem baloników w ręce. Był prawdziwym klaunem, a przynajmniej tak wyglądał. Bo ta gęba wydała mi się znajoma.

– Czy ja do cholery nie mogę mieć spokoju we własnym pieprzonym domu? Kim kurwa jesteś? Bo chyba nie powiesz mi, że klaunem.

– Jestem klaunem.

– Naprawdę? Może jesteś tym kolesiem, który mnie cały czas podsłuchuje zza ściany? Zaraz! Byłeś w hotelu przebrany za pedalskiego aktorkę!

– Ale – koleś zaczął się jękać. To umiał doskonale. Nie było wątpliwości, a przynajmniej ja takich nie miałem, że to był on – to nieprawda! Musiał mnie pan z kimś pomylić.

– Ściągaj to gówno z głowy! Natychmiast!

Klaun ściągnął czerwoną perukę kręconych włosów, potem nos klauna. Popatrzyłem się na niego i kazałem mu się nie ruszać. Podeszedłem do kibla, namoczyłem ręcznik obserwując go i podałem mu go wracając. Przecierając twarz, poznałem jednocześnie aktorkę z hotelu, i jednocześnie tego małego, nic niemówiącego draba, którego spotkałem razem z Manolo w windzie wydawnictwa.

Złapałem go za kołnierz i rzuciłem na ścianę.

– Kim kurwa jesteś!? Odpowiadaj albo cię zabiję! – By być jak najbardziej przekonujący złapałem za nóż do chleba. – Mów!

– Ja jestem pracownikiem wydawnictwa! Miałem za zadanie podsłuchiwać pana, bo pan Ivan chciał wiedzieć czy zażywasz jakieś narkotyki.

- I co zażywam?
- Nie mogę powiedzieć. – Mówił to jęcząc i zaciskając oczy.
- Podaj mi, choć jeden powód bym nie zmielił cię na karmę dla kanarka.
- Phallus dei cię szuka! To agencja paranormalna!
- Nic mi to nie mówi. I tak zginiesz! – Podstawiłem mu nóż bezpośrednio pod grdykę.
- Czekaj! Oddam ci kasety! Nie muszę ich przedstawiać! Powiem, że nic nie znalazłem.

Powiem, że jesteś czysty, nic nie zażywasz!

– Tak lepiej. – Dopiero wtedy go puściłem. – Teraz idziemy po kasety. I jeśli coś piśniesz Ivanowi, pamiętaj lepiej o nożu do chleba na twoim gardle.

Lubię po tym wszystkim myśleć, że ten koleś będzie miał trwały uraz przypominając sobie zawsze tą najbardziej stresującą chwilę w jego życiu, za każdym razem, kiedy spojrzy na nóż do chleba. Teraz będzie musiał do końca życia kupować chleb krojony.

Podśluchiwacz zabrał swoją perukę klauna i wyszedł wraz ze mną. Weszliśmy do mieszkania obok. W jednym z pokoi, który jak wydedukowałem był połączony ścianą z moim kibelem, leżał cały sprzęt szpiegowski. Nawet Bond takiego nie miał. Klaun wziął wszystkie kasety i dał mi je, patrząc na mnie z przerażeniem, myśląc pewnie, że zaraz go zabiję. Wyszedłem nic nie mówiąc.

Nad ranem skończyłem artykuł o śmiertelnych wypadkach, które nie są takie śmiertelne. Gdy usiadłem, zadzwonił telefon, to Ivan.

- Obudziłem cię? – Spytał.
- Nie. Zbrodnia nigdy nie śpi. – Zażartowałem.
- Ale popełnia się raz a odpracowuje całe życie. – Zaczął. – Mamy poważny problem.
- Dowiedziałeś się, że któryś z pracowników jest ćpunem?
- Co? Co ty mówisz?
- Nic. Nie ważne. Co to za problem?

– Manolo zniknął. Miał być dwie godziny temu w moim biurze. Nie stawił się. Próbowałem się dodzwonić do domu. Potem do hotelu, w którym przebywa, a także do matki. Nic. Zniknął. Dosłownie. Dzwonię by się upewnić, czy przypadkiem nie ma go u ciebie.

- Nie ma. Nie ma u mnie nikogo. Poza wielką spluwą. Żartowałem. No i co ja mam do tego?
- Może masz jakiś pomysł gdzie może być?
- Pozwól, że zadzwonię za parę godzin. Poszukam go.
- Dobra. Czekam.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem się zastanawiać. A więc Manolo zniknął. Spośród trzech i pół miliarda ludzi na świecie, tylko ja miałem odpowiednie predyspozycje by go znaleźć. Wyłączyłem telewizor i zacząłem się zastanawiać nad ostatnimi wydarzeniami szukając tak zwanego sensu.

Trzy godziny później postanowiłem znaleźć telefon. Swędziała mnie klatka piersiowa. Przeszedłem pod latarnią. Za sobą poczułem ruch. Odwróciłem się i spojrzałem na poruszające się na chodniku cienie. Poszedłem dalej by trzymać się od nich z dala, mając nadzieję, że w ciemnościach tracą swoją moc. Budka telefoniczna stała zaraz między bramą, a sklepem ze zniczami i kwiatami. Nad nią świeciła neonówka. Podeszedłem i chwyciłem za słuchawkę. Ponownie poczułem za sobą ruch, i nie dając im żadnej szansy, i jednocześnie nie chcąc wiedzieć, jakie mają zamiary, słuchawką rozbiłem neonówkę. Wolałem ciemność. Wrzuciłem parę drobników i wykręciłem numer do szefostwa, mając nadzieję, że siedzi jeszcze w wydawnictwie.

Odebrał, spytał się, co robię na cmentarzu, więc mu odpowiedziałem, że szukam tropów. Zapewniłem go, że jeśli bym zaginął to tutaj ma mnie szukać. Powiedziałem dodatkowo, że jak się przeniosę w inne miejsce, to od razu do niego zadzwonię. Wolałem mieć pewność tego, że nie zaginę bez śladu jak sam Manolo. Chociaż nie wiedziałem, dlaczego myślałem o nim jak o martwym. Po odłożeniu słuchawki, wybrałem resztę drobnych i przekroczyłem bramy cmentarne. Szedłem główną uliczką cmentarną, mając umarłych na wyciągnięcie obu rąk.

- Nie powinieneś się zapuszczać w te tereny w taką noc jak ta, kobziarzu.

Odwróciłem się zmrożony głosem, który słyszałem niedaleko. Odwróciłem się i z mroku

zobaczyłem wychodzącego Oliviera Paschal'a. – Phallus dei używa różnych sztuczek by się do mnie dobrać. Jedną z nich jest pewnie śledzenie cię, jako łatwy trop. Pewnie już są tutaj.

– Nikt za mną nie szedł, nikt mnie nie śledził, poza... – I wtedy nastąpiła chwila refleksji oscylująca wokół śledzących mnie cieni. – Chyba wiem. Są tutaj. Cienie!

– Wiem o tym, skrzytku, wiem. – Olivier wyciągnął miecz schowany w pochwie na plecach, któremu się tak przyglądałem. – Są tu też inni. To nasza noc, dudziarzu. Nas obu. – Mówiąc to czochrałem się po brzuchu, jakbym dostał jakiejś wstydlivej wysypki. Spojrzałem w niebo na księżyc w pełni by w pełni zrozumieć, o co chodzi. Światło księżyca zdawało się być coraz jaśniejsze. Poczułem jak coś się dzieje z moimi mięśniami. Drżały w skurczach. Spojrzałem na ręce, i z trwogą musiałem przyznać, że zaczynają je pokrywać spore ilości włosów. Dotknąłem twarz, na której działało się to samo, a potem dopiero odsłoniłem brzuch, na którym także wyrastały włosy.

– Olivier, co się ze mną dzieje?

Olivier patrzył na mnie zastanawiając się czy przypadkiem nie zadać ostatecznego ciosu łaski. Z drugiej strony wjeżdżała różnobarwna ciężarówka. Zatrzymała się i przez chwilę nic się nie działo. Wszystkie światła w niej były pogaszone, uniemożliwiające rozpoznanie, kto lub co nią przyjechało. Zaczynałem się garbić, traciłem świadomość czując się jak zaćpany. Moje ręce zgrabiwały a palce się wydłużały. Ciało zaczęło rozrywać moje ubranie. Moje oczy zaczęły widzieć inaczej, kazały mi patrzeć instynktownie w stronę księżyca. Pochyliłem się do przodu, czując jak moja twarz się wydłuża. Zatraciłem na parę chwil świadomość, czując, że stałem się kimś innym. Z tego dziwnego letargu wyrwał mnie nagły, rażący błysk światła samochodu. Olivier osłonił się przed nim, a ja zacząłem biec w stronę grobów, na czterech łapach.

Przebiegłem jak najdalej w cmentarny mrok, kryjąc się jak spłoszony łoś, między grobowcami i posągami jesusowymi. Spojrzałem na samochód, na którym boku widniał wyraźny fosforyzujący napis "Phallus Dei – grupa paramilitarna". Olivier uniósł miecz będąc w pogotowiu. Za nim kłębiło się coś, co ściga mnie od paru dni. Nie zauważył tego, a ja nie byłem w stanie krzyknąć, ani wypowiedzieć przez moje zmutowane struny głosowe, ani słowa. Mogłem być tylko biernym obserwatorem.

Z samochodu zaczęły wylazić kolejne osoby, wysoki krótko ścięty blondyn, z białą bluzą i czerwoną apaszką na szyi, przez słoneczne okulary wyglądał jak jakiś tajny agent. Od strony kierowcy wyszła gruba maciora w okularach, a za nią pudel, i osoba, która nie miała ciała. Tylko strój, garnitur, który wyglądał jak wyprasowany, i nie mógł być to niewidzialny człowiek, bo w ogóle nie widać było jego niewidzialnego ciała. Zaraz za nimi wyszła stara, garbata jędra, wyglądająca jak pijaczka albo czarownica. Stanęli i obserwowali Oliviera. Ten patrzył im w oczy, próbując coś z nich wyczytać. Za nim kłębiły się cztery cienie wyglądające jak długie, rozciągnięte ciała mnichów, którymi w rzeczywistości byli. Jednak przy każdym kolejnym ruchu, ich cienie się zmieniały w coś, co mogło być potworami z najgorszych snów. Olivier w ostatniej chwili się odwrócił i cienie naskoczyły na niego, oplątując go czarnymi mackami. Skrępowwały jego ruchy do tego stopnia, że nie mógł wykonać on żadnego ruchu.

Nie mogłem wytrzymać i wyskoczyłem zza grobu, ale moje nędzne wysiłki spoczęły na niczym, bo moje nowe, nieopanowane ciało potknęło się o łopatę. Ci z Phallus Dei zauważyli mnie. Stara wiedźma zrobiła krok w moją stronę, uśmiechnęła się i krzyknęła.

– Ha! Moja klątwa jednak podziałała! Zamieniłam cię w bestię! To kara za zadzieranie ze mną i oczernianie mojej czarnej magii w twoich nędznych artykułach. – Spojrzałem na swoje ciało. Było gorzej niż myślałem. Zamieniłem się w wilkołaka! Albo coś temu pokrewnego, pokrytego futrem.

– Mimo, że pomysł z gargulcem nie wypalił, nie ja, ale demony mroku się na tobie zemstzczą!

Zacząłem się podnosić i pierwsze, co wpadło mi w oko, to kawałek suchej trawy. Rozejrzałem się jak wilk polujący na zdobycz, tak zaafierowany postacią, że o mało nie wpadłem do świeżo rozkopanego grobu. Zawarczałem i jęknąłem. Postać za grobem wyjrzała otępiąłym wzrokiem. Nie powinno go tu być. Poznawałem go. To był ten przeklęty włamywacz, który próbował najpierw ogołocić mój służbowy samochód, a potem mieszkanie. Nie myślałem jednak,

że nasze drogi raz jeszcze się skrzyżują. Miałem ochotę go pożyć.

– Ty cholerny wsiurze, mówiłem ci, co z tobą zrobię, gdy cię znów spotkam!

– Proszę, nie rób mi krzywdy! Kim jesteś?! Jak wilk może gadać!

– To ja! Benito! Co ty tu do cholery robisz! Mów! Jaki masz z nimi związek! Inaczej rozszarpie ci gardło!

– Ja, po kolejnych nieudanych włamaniach, rabuję groby! Mam klienta! To dlatego! Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi! Przysięgam!

Włamywacz, podniósł się i pochylony zaczął uciekać kierując się na ogrodzenie po którym, jak opętany, zaczął się wspinać. Rozejrzałem się wokół. Cienie pochłoneły niemal całego Oliviera. Zastanawiałem się, czy nie jest za późno. Zacząłem biec między grobami, próbując pozostać niezauważony, jednocześnie uświadamiając sobie, że jako istota rozerwana między dwoma ciałami, jako zwierzę, nie utraciłem jeszcze całego swojego człowieczeństwa.

Podbiegłem za samochód grupy Phallus Dei, czając się na nich. Usłyszałem zgrzyt metalu za sobą. Obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem postać, przypominającą mały czołg. Zbliżyłem się sądząc, że to dalej włamywacz. Nie widziałem jej dostatecznie dobrze, podszedłem i do moich uszu dobiegł gwizd pociągu, i słaby ledwie słyszalny tętent kół. Wytężyłem wzrok. Zobaczyłem człowieka, który przykucnięty... srał! Jego kontury w blasku księżyca przypominały efekt czołgu, tak był on zbudowany. Im byłem bliżej, tym bardziej wydawał mi się znajomy. Usłyszałem jęk i znów pociąg. Z dupy srającego zamiast gówna wyjeżdżał pociąg, który jechał po ziemi jak kolejka dla dzieci. Gdy zauważył, że stoję obok niego, spojrzał mi w oczy. Poznałem go. Spotkałem jak jechaliśmy do dentysty, kolejna osoba obarczająca mnie za spisak w artykule.

Koleś z mafii wstał i ubrał spodnie. Podszedł do mnie. W niemrawym świetle wyglądał jak skrzyżowanie lekarza z gangsterem z lat trzydziestych. Zacząłem warczeć. Phallus Dei to zauważył i zaraz cała grupa i pudel podbiegli do mnie okrążając mnie ze wszystkich stron. Pudel obszczekiwał mnie.

– Spierdalaj Scooby – Doo! – Wrzasnąłem. Nie usłuchał. Siła instynktu wzięła nade mną górę i zaatakowałem pudła rozgryzając go, a w następnej chwili tylko leżał i kwiczał. Blondyn zaczął do mnie podchodzić z siatką, próbując mnie złapać.

– Spokojnie mały – mówił do mnie – pani jasnowidz przepowiedziała, że tutaj znajdziemy paranormalny cel naszych poszukiwań i przynajmniej jednego stwora spośród wszystkich będących tutaj pochwycimy, i będziemy mogli zbadać, przedstawiając światu, że nie jesteśmy szaleńcami i to, co wierzymy, jest prawdą. Zresztą mamy już dość nagrań wideo, które filmują z dachu samochodu wszystko.

Zastanawiałem się, dlaczego ten idiota, zamiast mnie złapać pierdoli od rzeczy, a ja, kolejny idiota, zamiast spieprzać, jeszcze go słucham. Gangster idący z drugiej strony, wyciągnął pistolet. Możliwe, że ci kolesie mieli kogoś pochwycić dzisiejszego wieczoru, ale nie zamierzałem być tą osobą. Gangster z wycelowanym pistoletem zbliżał się. Blondyn wbił w niego wzrok. Gangster wycelował w niego. Blondyn nie ruszał się z miejsca. Gangster stawiał kolejne kroki, patrząc mu w oczy. Nie wiem, co zamierzał, mogłem tylko polemizować, że pewnie chciał mnie zastrzelić, jak psa, z najbliższej odległości. Nie ruszałem się z miejsca. Zauważyłem, że nawiedzony garnitur próbuje mi odciąć linię ucieczki. Odwróciłem się do niego i wystawiłem język machając ogonem. Odwróciłem się w stronę gangstera, który był coraz bliżej. Zaszczekałem, i ten przestraszony nadepnął na pogryzionego kundla i poślizgnąwszy się upadł na plecy strzelając w niego. Nie wahając się wskoczyłem na niego gryząc jego dłoń, z której wypadł pistolet. Nie mogłem go walnąć pięścią, więc zacząłem wysoko po nim skakać. Krzyczał, więc skakałem coraz mocniej przez parę sekund, aby przestał.

Zlazłem z niego i odwróciłem się w stronę grupy. Blondyn najwyraźniej chciał przejść do działania. Zawyłem jak rasowy wilk w stronę księżyca i zacząłem biec. Blondyn zamachnął się siecią, ale w ostatniej chwili umknąłem. Przebiegłem koło samochodu, i wskoczyłem na wciąż wierzgającego Oliviera, który ostatkiem sił próbował się wyswobodzić z objęć cieni, oplatających go całego. Nie zważając na konsekwencję zacząłem gryźć cienie. W materii przypominały trochę jedwabną płachtę, a trochę dym. Kolejne macki puszczały. Rozrywałem je. Myślałem, że kilka

pogryzień ciała Oliviera jest lepsze niż to, co one szykowały dla niego. Rozdzierałem cienie łapami, tak długo aż wszystkie odeszły. Olivier padł na ziemię wykończony, jednak zachował przytomność. Wyciągnął w stronę mojej głowy dłoń i pogłaskał ją. Oderwałem się od niego, słysząc trzaskanie w powietrzu.

Zewsząd wylażyły kolejne demony, mitologiczne stwory i zmutowane gady, ogromne i przerażające przypominające dinozaury. Kroczyły zakradającym się krokiem, odwróciłem się w stronę samochodu Phallus, chcąc wiedzieć, co kombinują. I wtedy go zobaczyłem. Krew na chwilę przestała krążyć. W stroju kelnera, siedł w moją stronę sam Roland Pierre Dolone, wyglądający w posturze jak człowiek, ale jego skóra i twarz była zielona. Głowę miał jak jaszczur a za sobą ciągnął ogromny ogon. Siedł w moją stronę oblizując się. Odwróciłem głowę do Oliviera i powiedziałem do niego moim skrzeczącym głosem.

– Olivier! Wstawaj, nadciągają poważne kłopoty, no stary, pomogłem ci, teraz ty pomóż mi, bo inaczej będziemy bardziej martwi niż te zwłoki wokół nas.

Olivier zaczął się podnosić i wzrokiem ogarniać wszystkie nadchodzące demony. Phallus Dei wyszedł przed samochód i wyraźnie nie mogli uwierzyć własnym oczom. Mimowolnym ruchem blondyn zawirował siecią w powietrzu i złapał jednego z mniejszych demonów wyglądających jak kula z dwudziestoma pajęczymi odnóżami. Blondyn złapał go w sieć, podniósł i zaniósł na tył samochodu. Tym czasem kameleon się zbliżał.

– Na litość boską, Roland! Czego ty kurwa ode mnie chcesz!

Pan kameleon się zbliżał. Jeden z demonów się odezwał.

– Przyszliśmy tutaj pomścić śmierć naszego najmłodszego demona!

Czyżby chodziło im o małego, upierdliwego gargulca? Pan Kameleon tymczasem przystanął i zaczął mówić.

– Benito, chcę ci tylko powiedzieć, że skontaktuje się z twoim wydawcą i wniosę sprawę do sądu za twój artykuł o mojej rybiej restauracji. Przez twój oczerniający tekst od otwarcia nie mieliśmy ani jednego klienta! Zapłacisz mi za to. – Kameleon zaczął się wycofywać, a zmutowane gady i mitologiczne stwory wraz z nim.

– Tylko po to kurwa mnie prześladował ten pierdolony zawistnik?

Pozostały jedynie demony, które okrężały nas coraz ciasniej. Olivier zaczął wstawać. A ja cofać się do bramy, zza której dochodziły dzikie krzyki i nawoływania. Obejrzałem się i nie wierzyłem własnym oczom. Wojsko samurajów szło wprost na nas. Phallus Dei odpalali samochód pozostawiając staruchę na chodniku.

– Cholera jasna! – Powiedziałem w stronę wszystkich demonów. – Wracajcie z powrotem do piekła i dajcie mi zrobić swoje. Mam układ z waszym panem, więc mi nie przeszkadzajcie. Wszyscy się zbliżali. Wszyscy tu byli. Z otępienia wyrwał mnie krzyk. Spojrzałem w stronę samochodu, który cofając rozjechał leżącego tam gangstera. Przynajmniej nie będą musieli go daleko przenosić by go pochować. – Pomyślałem. Olivier wstał i wyciągnął miecz.

Samurajowie wdrapywali się po bramie. Rozglądałem się próbując namierzyć skąd dobiegało pischczenie, które już znałem. Olivier wyciągał z kieszeni jakieś urządzenie przypominające telefon komórkowy, ale znacznie bardziej skomplikowane. Dostrzegł mój pytający wzrok, schował urządzenie wyłączając je.

– Nadchodzą. Lepiej bądź gotowy.

– Nadchodzą? Kto nadchodzi? – Nie odpowiedział. – Olivier! Powiedz. – I wtedy nastał grzmot. Cały cmentarz rozświetlił się nagłymi błyskami. Coś grzmiało nieustannie i niezwykle głośno. Samurajowie zastygli w bezruchu w połowie przechodzenia przez bramę i spojrzeli w niebo. Ja kierując się linią ich wzroku też na nie. Nie mogłem uwierzyć, że po raz drugi w życiu zobaczę statek kosmiczny obcej cywilizacji. Statek podleciał nad cmentarz i z dołu otworzyła się brama, bijąca seledynowym światłem. Wraz ze światłem wyleciały cztery postacie mnichów Phallus Dei. – Na litość boską, kim oni są!?

– To Phallus Dei, największa religijna organizacja w całej galaktyce.

– Czego oni chcą?

– Zabrać mnie z powrotem.

– Zabrać? Jak to z powrotem? Gdzie? To ty nie jesteś człowiekiem?

Czwórka mnichów zaczęła podchodzić. Stanęli naprzeciw nas. Jeden z nich odgarnął kaptur ukazując głowę, która wyglądała jak czaszka jakiegoś robaka. O ile przyjąć, że robaki mają kości. Samurajowie przeszli przez bramy, stanęli w szeregu i przyglądali się tylko. Wszyscy czterej rozejrzeli się wokół obserwując demony. Jednocześnie podnieśli głowy.

– Zamknij oczy, tylko mocno. – Powiedział do mnie Olivier.

– Po co?

I wtedy nastąpiła odpowiedź. Oślepiające żółte światło rozpląnęło się po całym cmentarzu zdmuchując w pył wszystkie demony. Gdy otworzyłem je, demonów nie było, jedynie grudy pyłu w ich miejscu. Jeden z mnichów zaczął mówić.

– Pora wracać Olivier. Wiesz dobrze, że walka z nami nie ma sensu. Jesteś nam potrzebny. Potrzebujemy wojowników w naszym zakonie, tak dobrych jak ty.

– Nie mam zamiaru być więziony jak niewolnik.

– Mamy kuszącą ofertę dla ciebie. Zmienił się biskup. Od tej pory będziesz traktowany jak człowiek, zupełnie na innych zasadach. Dajemy ci zupełną wolność, tylko pracuj dla nas.

– Ha! Jak człowiek. Dobrze sobie. – Powiedziałem niechętnie skupiając tym samym wzrok na sobie i wtedy poczułem się głupio zważywszy na swój obecny wygląd. Olivier opuścił miecz, trzymając go cały czas w pogotowiu. Zastanawiał się nad czymś.

– Dobra. Niech będzie. Pójdę z wami. Ale jak mi się coś nie spodoba, rozwiązujemy umowę.

– To dobry wybór wojownika.

– Jednak najpierw muszę coś zrobić. Odwdzińczyć się temu oto człowiekowi. – Mnisi czekali obserwując ich. – Benito połóż się na ziemi.

– Po jaką niby cholerę?

Olivier odstawił miecz na bok. Położyłem się. Olivier wyciągnął biblię i krzyż, który położył na moim brzuchu. Jego dotyk zaczął mnie parzyć.

– Ta wiedźma nałożyła na ciebie klątwę, by ją przełamać potrzebujesz egzorcyzmu.

– Chyba sobie jaja ze mnie robisz.

– Nic nie mów.

Olivier zaczął coś czytać w nieznanym języku, zataczając kręgi ręką nad moją głową. Moja skóra parowała. Poczułem się jakbym się kurczył. Zacząłem dygotać i nim się zorientowałem, było po wszystkim. Olivier zamknął księgę, zabrał krzyż i schował, a ja leżałem nagi. Było mi zimno.

– Pozostaje jeszcze sprawa Manolo. Zaginał parę godzin temu. Muszę go odnaleźć. Właśnie po to tutaj przyszedłem. Szukać odpowiedzi na jedno pytanie.

Olivier patrzył na mnie zimno. Wskazał jeden z grobów. Ten rozkopany przez włamywacza. Wstałem i zacząłem iść w jego stronę. Po jednej stronie był rozkopany grób, a obok leżąca płyta nagrobna. Leżała na niej garstka zakrwawionych paznokci. Przez chwilę nie mogłem zaskoczyć, o co chodzi. Jednak, gdy zapomniane wspomnienia zaczęły się budzić w mojej głowie, cały zeszytniałem.

A było to tak: Wysiadłem z samochodu przed gabinetem dentystycznym. Olivier wysiadł zaraz za mną mówiąc, że nie będzie na nas ścigał kłopotów, wówczas nie wiedziałem, o co chodzi, ale teraz wiem, że obawiał się ścigających nas cieni Phallus dei. Odszedł w swoją stronę, a sam Manolo pucował swoje okulary. Drzwi od samochodu były otwarte. Jeszcze stałem chwilę by spalić peta, ale po co on tam stał to naprawdę nie wiem. Chyba nikt nie wiedział o nim dostatecznie dużo. Zresztą to i tak przepadnie w pomroce dziejów, bo nam już o tym nie opowie. Jednak, kiedy żył, mówił jeszcze o paznokciach. Mówił, że są za długie i należałoby je jeszcze dodatkowo przyciąć. Naprawdę, nigdy w życiu nie widziałem by ktoś tak masakrycznie krótko miał je przycięte, prawie do mięsa, a on gadał jeszcze o tym, że trzeba je przyciąć. Pojeb. Akurat ból zęba się nasilił. A on się rozwodził o depilacji, manicure i innych pierdołach. Nie miałem sił by otworzyć usta, tak kurewsko to bolało. Wyrzuciłem peta, bo ból od dymu się w ten sposób nasilał. Gadał dalej, zaczęło kręcić mi się w głowie, resztkami sił powiedziałem by zamknął mordę, ale do niego chyba to nie docierało, bo dalej coś tam pierdolił od rzeczy. Otworzyłem samochód i uderzyłem go pięścią w ramię. Był jednak takim łazęgą, a ja przywaliłem zbyt mocno, jego ramię się obsunęło zbyt szybko i w jakiś dziwny

sposób skrzyłem mu kark. Gdy do niego przemówiłem, po tym jak upadł i charczał jeszcze przez chwilę, nie odpowiedział. Opadł na drugie siedzenie z dziwacznie przekręconym ramieniem, a gdy dotknąłem jego szyi, nie wyczułem pulsu. Ból tak doskwierał, że nie mogłem wytrzymać. Zatrzasnąłem drzwi i pobiegłem szturmem do gabinetu. Lekarz sadysta, żałujący na znieczulenie wyrwał mi go od razu, opowiadając o sztuce dentystycznej od czasów średniowiecznych. Gdy kończył miałem go już dość. Widział, że mam minę jakbym co dopiero się wysrał i znalazł w kiblu swoje zęby. Opowiedziałem mu o Manolo, że go zabiłem za pedalskie opowieści o paznokietkach, zanim tu przyszedłem, chcąc go nie tyle przestraszyć, ile uświadomić, że zabiłem przed chwilą, za głępszą rzecz, niż te jego cudaczne opowieści. On nie przejął się tym, zachowując się jakby zabijanie ludzi było dla niego tak naturalne jak pierdzenie. Wtedy powiedział coś w stylu, że jak nie ma narzędzia zbrodni i zabitego, to zbrodnia nie. Powiedział też, że najciemniej jest pod latarnią a liść najłatwiej schować w lesie, i powiedział, że jak nie mam pomysłu, co zrobić z ciałem, to żebym je pochował wraz z innym nieboszczykiem na cmentarzu. I tak zrobiłem zaraz po wyjściu od niego. Zawiozłem go, pochowałem, a przedtem zdarłem mu te cholerne paznokcie i położyłem na grobie.

Teraz patrząc się na nie, nie zamierzałem odkopywać grobu. Zgarnąłem paznokcie z grobu i wgniotłem je w ziemię. Nie miałem do tego żadnych obiekcji, że należą do niego. Zawróciłem się i podszedłem do samurajów. Stanąłem przed nimi i spytałem:

– Panowie, chciałbym tylko zapytać, czemu cały czas mnie prześladujecie.

Wszyscy nie zdejmowali ze mnie wzroku. Przez chwilę nawet pomyślałem, że nie rozumieją po naszymu, ale po chwili jeden z nich odezwał się.

– Nie szukamy ciebie, tylko Manolo. Dowiedzieliśmy się, że znajdziemy go tutaj. Od ciebie.

Klapka we łbie znów przeskoczyła. Przypomniałem sobie dalszy ciąg tego jak wróciłem z cmentarza, przejeżdżając koło zoo, gdzie durnie byli tak głupi, że czekali na nas akurat w tamtym miejscu, będąc przekonani, że kiedyś tam wrócimy. Rozpoznali samochód i wyskoczyli na jezdnię. Zatrzymałem się i zagroziłem, że jak nie zejda z jezdni to ich przejadę. Jeden spytał się czy jest ze mną Manolo. Powiedziałem, że jest na cmentarzu. I wybrali się tam akurat w porę, kiedy nikogo nie ma, czyli dzisiaj, teraz, w nocy, by w ten sposób nie wzbudzać podejrzeń. No i szczerze powiedziawszy znaleźli go i nie tylko jego.

Przypomniawszy sobie to, wskazałem im grób. Pewnie myśleli, że znajdą go tu żywego. Patrzyli przez chwilę na mnie.

– Czyli wykonałeś robotę za nas?

– Jaką robotę? Dlaczego za was?

– Manolo pół roku temu przybył do Japonii, w sprawie pracy. Jednak trafił na dwór carski i uwiódł najmłodszą córkę szoguna. Spłodził dziecko i uciekł. Szogun, gdy się o tym dowiedział kazał przyprowadzić do siebie Manola, jednak ten już wracał do ojczystego kraju. Tchórzostwo i bezmyślność tak zdenerwowała szoguna, że kazał go zabić, dlatego wysłał tutaj prywatny samolot wypełniony wojownikami, czyli nas, byśmy go znaleźli i zabili.

Patrzyłem na nich i łykałem ich historię, bo nic innego mnie już dzisiejszego dnia nie zdziwiłoby. Szturmem wszyscy samurajowie uklonili się, odwrócili i zaczęli opuszczać bramy cmentarne, udając się na powrót do kraju kwitnących wiśni. Samuraj ściągnął pochwę razem z mieczem, zawirował nim w powietrzu ze świstem i ułożył na obu rękach.

– To dla ciebie Benito. Został wykonany na pewnej planecie położonej o trzydzieści lat świetlnych stąd, na wzór i podobieństwo starych mieczy tego świata. Jest niezwykle ostry i niezniszczalny. Nie musisz go używać, ale zachowaj go, nawet pod względem artefaktu przyozdabiającym ścianę. Miecz ten będzie ci przypominał o mnie i zdarzeniach ostatnich kilku dni. Daję go tobie. I nie martw się, każę wykuć sobie nowy.

– Nie muszę pamiętać o ostatnich wydarzeniach. Takie gówno zostaje w pamięci. - Wziąłem miecz. Olivier skinął głową i odchodził w stronę mnichów uśmiechając się przy tym. Stał przy nich i promień światła rozjaśnił się na chwilę. Wtedy zaczęli lewitować i wznosić się do głębi statku wraz z owym promieniem. Gdy już w nim zniknęli, znaczy w statku, brama zamknęła się z rzęzącym pomrukiem a cały statek owiła płatanina kolorowych świateł i błyskawic. Wtedy zaczął dygotać cały w powietrzu i zaczął się unosić. Wychylałem głowę tak, że aż kark mnie bolał.

Patrzyłem jak znika na niebie. Pomyślałem sobie wtedy, że mogłem się z nimi zabrać, by poznać, jakie narkotyki są dostępne w innych galaktykach, ale może jeszcze będzie szansa. Może wróci.. Rzuciłem dodatkowo w stronę nieba.

– Żegnajcie najeźdźcy z kosmosu. – Przechodząc koło grobu Manolo rzuciłem jeszcze – Wtedy, kiedy jesteś najbardziej potrzebny ciębie nie ma.

Opuściłem miecz, i zacząłem iść do bram na przeciwko, by w końcu opuścić te ponure rejony Dalej byłem nagi, ale nie przejmowałem się tym. W myślach obierałem kierunek, by dojść do domu, nie rzucając się przy tym w oczy. Przeszedłem kawałek i zobaczyłem przewróconą ciężarówkę Phallus Dei wbitą w samochód policyjny. Otworzyłem tył półciężarówki i zajrzałem do środka. Po demonie, którego schowali została tylko sieć. Kto wie, gdzie zniknął. Możliwe, że powrócił razem z resztą. I wtedy zobaczyłem wybawienie. Nawiedzony garnitur, leżący przy samych siedzeniach. Nachyliłem się nad nim i szturchnąłem go butem. Nie poruszył się. Podniosłem strój i ubrałem go. Pasował idealnie.

– Znacznie lepiej mój miły, o to właśnie chodziło. – Powiedział ktoś a ja się zastanawiałem, kto. Rozejrzałem się wokół i wtedy znów się odezwało. – Nie rozglądaj się tak. Właśnie mnie ubrałeś. Jestem garniturem, który masz na sobie. Gdyby nie ty, pewnie bym umarł. Gdy tylko mnie na siebie ubrałeś, ponownie mnie ożywiłeś, nie muszę być upierdliwy, ani wredny, mogę się nawet nie odzywać, ale chodzi mi o to, co wszystkim, o przeżycie. Nie musisz mnie nosić cały czas, ale zakładaj mnie od czasu do czasu. Będę ci wdzięczny.

– Tak jasne. Ale pamiętaj, że jak mi się coś nie spodoba, użyję tego.

Podniosłem miecz i miałem nadzieję, że go widzi.

– Chodźmy. Radio wzywało ten wóz już dwa razy. Możliwe, że już tu jadą.

– Jasne. Wyszedłem z wozu i zacząłem iść przed siebie kierując się do domu. Mimo tego wszystkiego zapomniałem spytać, co się stało z popromiennym snem...

Wrocław, 2008

Samuel Serwata – Opowiadanie ze zbioru „SYNTETYCZNE HISTORIE”

Czyta: